Kuryer Poznański.

Nr. 257. Redaktor odpowiedzialny. **Piątek, 10 listopada 1882.** *Nakazy Gruszczyński w Poznaniu.* **Rok XI**

„Kuryer Poznański“ wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych. Przedpłata kwartalna wynosi w mieście 7 marek 50 fen., w cesarstwie niemieckiém 9 marek 15 fen., w Austryi i Węgrzech 6 guldenów, we Francyi, Belgii, Szwajcaryi i Włoszech 18 franków, w innych krajach cena prenumeracyjna z doliczeniem odnośnego portoryum. — **Biuro redakcyi** przy placu Wilhelmowskim Nr. 18 w podwórzu (na lewo) na pierwszem piętrze. **Ekspedycya** przy placu Wilhelmowskim Nr 18, w podwórzu (na prawo) na pierwszém piętrze w drukarni Jarosława Leitgebra. — **Ogłoszenia** przyjmują się w ekspedycyi jako też u pp. R. Mosse w Berlinie, Frankfurcie n. M., Hali, Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, Pradze, Strassburgu Stuttgardze, Wiedniu, Wrocławiu, Zurychu; Hasenstain & Vogler w Hamburgu, Bazylei, Berlinie, Wrocławiu, Kamienicy (Chemnitz), Gdańsku, Dreźnie, Erfurcie, Frankfurcie, Genewie, Hali n. S., Hanowerze, Kolonii Lausanne, Lipsku, Lubece, Norymberdze Pradze. Stuttgardzie, Wiedniu, Zurychu; Daube & Comp. w Frankfurcie; Dorn & Comp. w Hamburgu; Havas Laffite & Comp. w Paryżu, place de la Bourse 8. — Cena inseratów wynosi od wiersza drobnego siedmiołamowego 15 fen., Reklamy 30 fen., tłomaczenie na język polski bezpłatnie.

POZNAŃ, 9 listopada.

(Mowa ministra Kallaya w komisyi budżetowéj delegacyi węgierskiéj o przyczynach ostatniego powstania w Bośnii i Hercegowinie. — Panslawiści, Austrya i Niemcy. — Program p. Duclerca. — Wtorkowe obrady w angielskiéj Izbie deputowanych: oświadczenie Dilkego w sprawie rokowań angielsko-francuskich o kontrolę finansów w Egipcie i poprawka deput. Lawsona. — Wybory w Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki i zwycięstwo demokratów.)

Na wtorkowém posiedzeniu komisyi budżetowéj delegacyi węgierskiéj wyjaśniał obszernie wspólny minister skarbu przyczyny ostatniego powstania bośniacko hercegowińskiego i szczegółowy nakreślił obraz panujących obecnie stósunków w krajach okupowanych. Baron Kallay oświadczył wyraźnie, że zagraniczne agitacye wywołały powstanie i zapowiedział, iż zarządzone zostaną środki ostrożności, które albo uniemożliwią ponowienie się ruchu zbrojnego, albo ograniczą go na szczupły jedynie teren. Przeprowadzenie emancypacyi wieśniaków bośniackich jest w téj chwili, zdaniem Kallaya, niemożliwe, gdyż nie zezwalają na to finanse Austro-Węgier; rząd wszakże polecił urzędnikom w krajach okupowanych, ażeby wedle sił pośredniczyli pomiędzy włościanami a właścicielami gruntów.

Kraje te okupowane i w ogóle stósunek i domniemywane plany, jakie ma mieć Austrya względem Słowian Bałkanu, ulubionym są tematem całéj prasy rosyjskiéj, która nim tak gorliwie i ustawicznie się zajmuje, jak gdyby w Austryi spoczywał punkt ciężkości i węzeł wszystkich politycznych trudności i przeszkód. Odesski „Wiestnik“ zastanawiając się nad rozpuszczonemi w prasie wiedeńskiéj pogłoskami, według których panować mają obecnie dobre pomiędzy Austryą a Rosyą stósunki, utrzymuje, że te wieści szerzy właśnie strona interesowana (Austrya) i to w celu, ażeby przeszkodzić albo osłabić protest Rosyi na wypadek, gdyby Austrya przyłączyła ostatecznie do monarchii Bośnią i Hercegowinę. — Ta sama prasa rosyjska występuje równocześnie przeciw dziennikom berlińskim, które, jak to wiadomo, zwróciły baczną uwagę na prowincye nadbałtyckie i posądziły agitatorów rosyjskich o podburzanie krajowéj łotyckiéj ludności przeciw niemieckim właścicielom gruntów (Zobacz Przegląd w „Kuryerze“ numer 245 z dnia 25 października). Oskarżeniom tym daje „Nowoje Wremia“ taką odprawę:

Niemiecka prasa napadała w ostatnim czasie często na Rosyą w ogólności a w szczególności na rewizyą dokonywaną przez senatora Manasseina, obwiniając władze rosyjskie o ducha rewolucyjnego, o nieposzanowanie dla nadbałtyckich władz niemieckich itd. Wszakżeż to w nadbałtyckich prowincyach nie ma ani nihilistów, ani studenckich nieporządków, ani szkólnych niepokojów, ani nieuporządkowanych stósunków ekonomicznych. A do tego, dzięki kulturze niemieckiéj, prowincye nadbałtyckie doprowadzone zostały do takiego kwitnącego stanu i zawsze okazywały taką przykładną wierność względem rosyjskich monarchów, że rozwój saméj Rosyi stoi w ścisłym związku z ich kwitnącym stanem i zachowawczością ich niemieckiego ducha. Widząc te wszystkie troski niemieckiéj publicystyki, nie pozostaje Rosyaninowi nic innego, jak posypać głowę popiołem i przyznać, że rzeczywiście do asymilacyi naszych innoplemieńców zrobiono w Rosyi bardzo mało i że wewnętrzna polityka rządu rosyjskiego w tym kierunku najczęściéj opierała się na poszowaniu naturalnych praw obcych narodowości. Dziwne to są te pretensye niemieckich publicystów, ażeby nadbałtyckie prowincye miały być inaczéj rządzone, aniżeli inne kraje, ażeby rząd rosyjski inaczéj względem nich się zachowywał, aniżeli względem Astrachanu, Permy lub Niższego Nowogrodu? Co się kryje pod takiém żądaniem, nie trudno odgadnąć.

Dziennik panslawistyczny nie wypowiada ostatniéj konkluzyi z tych skarg niemieckich na ucisk Niemców nadbałtyckich; ale łatwo się jéj domyślić. Jęk boleści, Niemców nadbałtyckich dobrze rozumieją w Rosyi, wiedzą tam dobrze, że ma on być tém ustawicznem przypomnieniem, że tam niemiecka ojczyzna, gdzie brzmią dźwięki mowy niemieckiéj. Jeżeli prasa rosyjska nie wypowiada ostatniego tego słowa, to czyni to z względów politycznych, nakazujących pewną rezerwę. Ale owe ciągłe podtrzymywanie nieufności do Niemiec, owe z pospiechem wznoszone fortyfikacye na Litwie i Królestwie Polskiém najlepszym są dowodem baczności rosyjskiéj przed inspiracyami niemieckiemi.

Ta to nieufność Rosyi względem Niamców i sprzymierzonéj z niemi Austryi jest niechybną miarą, według któréj należy oceniać panujące pomiędzy państwami temi stosunki. Kto miarę tę wypuści z ręki, ten często poda uchu nieuzasadnionym pogłoskom, do jakich n. p. należy z taką uporczywością utrzymująca się wieść o pobycie ministra Giersa w Wiedniu i o rozmowie jego z austryackim ministrem spraw zagranicznych. Myśmy pogłosce téj ani na chwilę nie dawali wiary. Dziś dementuje ją ministeryalny organ rosyjski „Journ. de St. Pet.“ i pisze, że sam fakt ten, iż p. Giers nie wyjechał z Petersburga, powinien ostatecznie zamknąć usta autorom owych zmyślonych pogłosek.

W dniu dziejszym zbierają się Izby francuzkie na nadzwyczajną sesyą sejmową. Telegram paryzki podaje nam anticipando treść oświadczenia ministeryalnego, jakie ma być odczytane przy otwarciu parlamentu. Gabinet p. Duclerc zdąża dziś jeszcze do tego samego celu, jaki sobie wytknął, obejmując rządy kraju, a celem tym jest usunąć i zatrzeć wszelkie rozbicie i zatargi istniejące pomiędzy republikańskiemi stronnictwami; rząd zwalczać będzie za pomocą wszystkich możliwych środków, jakie mu dają ustawy, wszelkie fakcyjne objawy, z jakiejkolwiek pochodziłyby one strony. W dziedzinie ekonomicznéj zajmować się będzie rząd ogólnemi interesami; na system finansowy ministra skatbu godzi się całkiém ludność, a co się tyczy organizacyi armii, to rząd zdecydowany jest wziąść ją w swą rękę. Oświadczenie ministeryalne rozwodzi się w końcu nad dobremi stosunkami Francyi do innych mocarstw i kładzie przycisk na to, że zagraniczna polityka Francyi nie będzie wprawdzie polityką prowokowaoia, ale nie będzie także polityką zamazywania (effacement). — Program zatém p. Duclerca nie nakreśla nowych horyzontów swéj przyszłéj działalności i produkuje się znowu z tą samą utopią, jaką jest niewątpliwie pogodzenie wszystkich frakcyi republikańskich. Pan Duclerc przyrzeka zwalczać energicznie żywioły anarchiczne; rzecz to wielce chwalebna, pytanie tylko, czy znajdzie ku temu potrzebną energią. Ustęp o polityce zagranicznéj bardzo jest ciemny; trudno się domyślić co ma oznaczać owa polityka zamazywania, przed którą się wzdryga obecny rząd francuzki. Władzcy francuzcy mogli byli zresztą bezpiecznie opuścić w swém oświadczeniu ten frazes, że nie chcą prowadzić polityki prowokacyjnéj; o dobrych chęciach gabinetu p. Duclerca w tym względzie nikt przecież nie wątpi.

Obrady angielskiej Izby deputowanych nie przedstawiają dotąd żywszego interesu; interpelanci i ministrowie zapuszczają się często w dziedzinę ogólnéj polityki międzynarodowéj, ale tak nieśmiałe stawiają na tym terenie kroki, że zaciekawiona publiczność nic się nie dowiaduje z tych enuncyacyi angielskich. Na wtorkowém posiedzeniu Izby gmin oświadczył p. Dilke w odpowiedzi swéj na zapytanie dep. Wolffa, że pomiędzy rządami angielskim i francuskim toczą się dotąd poufne rokowania w sprawie kontroli nad finansami egipskiemi. Podsekretarz spraw zagranicznych odrzekł daléj, że oświadczenie, jakie był Gladstone złożył przy otwarciu Izb, nie pozwala mu bliżéj określić owego charakteru rokowań francusko-angielskich. — Owe więc noty, o jakich pisaliśmy we wczorajszym Przeglądzie, wyrodziły się w bujnéj imaginacyi prasy berlińskiéj. Pan Dilke mówi tylko o poufnych rokowaniach, ale nie o notach, które z natury swéj mają cechę urzędową. — Na témże wtorkowém posiedzeniu zapowiedział deput. Lawson poprawkę do znanéj rezolucyi Northcotego. W poprawce téj zawezwie członek partyi torysów Izbę, ażeby oświadczyła, iż nie godzi się na takie operacye militarne w Egipcie, któreby przeszkadzały ludności egipskiéj w wykonywaniu kontroli nad własnemi jéj instytucyami.

W dniu onegdajszym odbyły się w Zjednoczonych Stanach Północnéj Ameryki wybory do kongresu, do rad municypalnych i innych magistratur. Według znanych dotąd rezultatów, odniosło stronnictwo demokratyczne zwycięztwo nad republikanami. Demokraci Północnéj Ameryki różnią się od stojących obecnie przy sterze rządu republikanów tém, że zmierzają do nadania obszerniejszéj autonomii poszczególnym stanom i są zwolennikami wolnego handlu. Są to przecież różnice li teoretyczne, a faktyczna różnica pomiędzy dwoma temi stronnictwami polega, jak trafnie i dowcipnie mówi „Koeln. Ztg.,“ na tém, że republikanie napchali już dostatecznie swe kieszenie, a demokraci nie mogli tego dotąd uczynić.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Uzupełniając nasze wczorajsze sprawozdanie, wracamy raz jeszcze do wspaniałego wrażenia, jakie na wszystkich zrobił akt uroczysty otwarcia zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Gmach Towarzystwa przedstawia się i zewnątrz i wewnątrz bardzo okazale. Dom frontowy wyrestaurowany, o ile na to fundusze pozwoliły, ozdobiony tablicą z napisem, piękną bramą, wygodnemi schodami, podwórzec wylany asfaltem, gabinet archeologiczny, czytelnia, biblioteka, sala posiedzeń, galerya obrazów są stósownie i gustownie udekorowane — wszędzie czystość i wzorowy porządek. Przedewszystkiém zaś galerya artystów polskich, w któréj odbyło się wczorajsze zebranie, nęci oko widza wspaniałą ozdobą kilku set obrazów i kilku rzeźb dobrego dłuta, a stósownem z góry oświetleniem podnosi urok tych znakomitych skarbów.

Społeczeństwo nasze zasługuje na prawdziwą wdzięczność, że tak z miasta, jak i z prowincyi dostarczyło tak znacznego kontyngensu osób, które obecnością swoją uświetniły uroczyste otwarcie gmachów i zbiorów Towarzystwa. Panie z dalekich stron Księstwa przybyły licznie z mężami, ojcami i braćmi. Widzieliśmy pomiędzy zebranymi reprezentowane wszystkie stany, posiwiałych w usłudze kraju obywateli, posłów, lekarzy, prawników, wielu księży z prowincyi, słowem bardzo liczny zastęp ludzi, biorących żywy udział w naszych sprawach publicznych.

Ten udział ogólny, to powszechne zainteresowanie się sprawą Towarzystwa pozwala nam tuszyć, iż ogół naszego obywatelstwa zrozumie i w czyn zamieni nadzieje, wyrażone w prawdziwie klasycznéj mowie czcigodnego prezesa, który tak doskonale skreślił „połowiczność,“ uwydatniającą się tak w gmachach, jak i w zbiorach Towarzystwa i „konieczność ich rozszerzenia.“ „Ta połowiczność — mówił szanowny prezes — wyraźnie domaga się drugiéj. Dobitna to wskazówka obowiązków na przyszłość... a dzieło ubiegłych lat 25 wzywa i wzywać nie przestanie ofiarności naszego obywatelstwa ku rychłemu dopełnieniu i zaokrągleniu budowy. Dziś, w czasach pomroku i niedoli, nie zapisują się już nazwiska naszych przodowników ani na spiżowych posągach wojennéj chwały, ani na pomnikach zasługi, zdobytéj w radzie i rządzie narodu, — ale tém trwaléj upamiętniają się na instytucyach dobroczynnych, przeznaczonych dla ulgi, dla oświaty, dla postępu ziomków w zamożności czy materyalnéj, czy duchowéj.“

Oby na pamiątkowych tablicach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w myśl sz. prezesa mogły jak najprędzéj zapisane być liczne imiona nowych dobrodziejów i protektorów, których pamięć z pierwszego ćwierć wieku istnienia swego Towarzystwo wczoraj tak serdecznie i znakomicie uczcić umiało. Towarzystwo potrzebuje koniecznie tego zaokrąglenia i rozszerzenia swych gmachów, nie tylko aby w nowém skrzydle pomieścić obfitość swych pamiątek i zbiorów, ale aby istniejący gmach ochronić od możebnego niebezpieczeństwa pożaru, a galerye od sadzy, wciskającéj się z sąsiednich kominów. I biblioteka Towarzystwa, niekompletowana w latach ostatnich, potrzebuje zasiłków tak w darach, jak w pieniędzach, aby mogła odpowiedzieć należycie wymaganiom publiczności. Kończymy te uwagi słowami sz. prezesa: „Żywimy przeto niepłonną nadzieję, iż z czasem znajdzie się sposób i środki do spełnienia życzeń naszych.“

Do liczby telegramów, nadeszłych w dniu wczorajszym, dodać winniśmy jeszcze następujące:

1. Z Brukseli: Polacy, mieszkający w Belgii, ślą serdeczne życzenia na pomyślność Waszéj pięknéj instytucyi. H. Merzbach.

2. Ze Lwowa prof. dr. A. Małecki.

3. Szczęść Boże Towarzystwu Przyjaciół Nauk i jego zbiorom, dziś otwartym. Redakcya „Tygodnika Ilustrowanego.“

4. Powodzenia w nowéj siedzibie. Nowy gmach niech będzie nowym fundamentem trwałéj pracy dla wielkiego celu. Redakcya „Nowin.“

5. Towarzystwo lekarskie krakowskie. Dr. Jordan i dr. Zarewicz.

6. Redakcya „Czasu“: Cześć i życzenia bratnie w dniu uroczystym instytucyi, strzegącéj ducha narodowego.

7. Aleksander Kraushaar, redakcya „Kłosów,“ redakcya „Reformy“ nadesłały również swe życzenia.

W końcu podajemy przemówienie sekretarza zarządu, hr. W. Benzelstjerny-Engeströma. i konserwatora Kl. Kanteckiego.

Przemówienie Sekretarza Zarządu.

W uroczystéj chwili dnia dzisiejszego, w którym oddając w ręce i pod opiekę Wasze, — Zakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk uosobioną myśl i serce szczodrego Założyciela — śp. Seweryna hr. Mielżyńskiego, — których tu społem spadkobiercami jesteśmy, — przypada mi zaszczyt otworzenia Wam podwoi jednego ze znamienitych działów bogatéj skarbnicy naszéj, wprowadzając Was uroczyście do przybytku sztuki ojczystéj.

Ziemia nasza rodzinna i społeczeństwo nietylko z uczuciem wdzięczności — ale ze czcią i dumą należną przejmuje wraz z innemi to spadkobierstwo, którém obecnie duch Mecenasa Wielkopolskiego kwieciem artyzmu odzianą myśl nam piękną podaje — pospół z dziedzictwem — pracę poważną i obowiązki na tém uroczém polu nam przekazując.

O tém dziedzictwie — o jego ważności i obowiązkach, niechaj mi wolno będzie, kilką słów serdecznych tu przemawiając, uświęcić tę uroczystą godzinę, w któréj otwierając Wielkopolanom Galeryą Artystów i rzeczy naszych, urzeczywistniam przekazaną nam myśl i marzenie myślicieli i estetyków polskich, których Seweryn Mielżyński tutaj na ziemi naszéj był posłannikiem i rzeczywistym przedstawicielem.

Jako artysta i estetyk pozostawia nam umiejętną pracą i ofiarnością zebrane skarby niepospolite w bogatéj Galeryi Miłosławskiéj, która drogocennemi dziełami sztuki europejskiéj staje się dzisiaj zaszczytem i chlubą dzielnicy naszéj — budząc i kształcąc uśpiony zmysł estetyczny społeczeństwa wielkopolskiego.

Jako myśliciel, — estetyk nasz narodowy, — wyżéj sięga! — w krainie piękna dzielnicę myśli i estetyki narodowéj i historyą jéj zaznaczając, otwiera nam nowe pole badania i pracy gniazdowéj — pracy cywilizacyjnéj, któréj i tutaj jak indziéj — pierwszorzędném zadaniem, siebie samych poznać, w domu i domową pracę złożyć, — by w przyszłości było komu — czci i sławy wieńce tworzyć!

Naturalném uczuciem a pierwszorzędnym obowiązkiem każdego zdrowego społeczeństwa jest, czcić i kochać — znać i szanować to co swoje — to jest, — myśl i pracę ojczystą — ducha i cnotę domową, a dopełniając tego wrodzonego wszem ludom i społeczeństwom obowiązku, stać na ich straży i pielęgnować je wszechstronnie, we wszystkich kierunkach i odcieniach, stanowiących społem jednolitą całość cywilizacyi i postępu narodowego. Zrozumiał to myśliciel sercem i duchem całym, czcząc i kochając myśl i pracę — a pielęgnując z miłością ducha i cnotę domową.

Takiém czystém i wzniosłém poczuciem obowiązku, a serdeczną miłością wspólnéj Macierzy, — piękną duszą, myśl piękną tworząc, zrozumiał estetyk polski, że poczucie piękna — pojęcie i zamiłowanie sztuki — że, jedném słowem, zmysł estetyczny w narodzie, jest najwymowniejszém świadectwem rozwoju i cywilizacyi społecznéj, najwspanialszym wykwitem starannie uprawianego i rozwiniętego ducha, — uosobieniem myśli, pojęć i uczuć społecznych; i że jak w zdrowém ciele zdrowa dusza, tak w pięknéj duszy, myśl piękna, — dążność, poczucie i pragnienie piękna się rodzą.

Założenie téj prawdy dziejowéj jest aksiomatem udowodnionym w dziejach świata — bo w niéj jest miara moralnego rozwoju uczuć i pojęć społecznych, przedstawiających się w estetyce narodowéj, która jest najwymowniejszą oceną i charakterystyką filozoficzną historyi ludów.

Badając dzieje społeczne zauważać możemy zawsze i wszędzie, że wzrost i upadek estetyki narodowéj — że dzieje sztuki ojczystéj związane są zawsze i nierozdzielnie zależne od rozwoju ducha, od jego wykwitu i wzrostu, albo li od upadku i rozprężenia.

Nawet w ubogiéj — na mieczu opartéj i wiecznie wśród pożogi i gromu na kresach cywilizacyi europejskiéj i w jéj obronie stojącéj ojczyznie naszéj, historya estetyki polskiéj jest poniekąd historyą spraw i dziejów naszych domowych.

Nie czas ni miejsce po temu, by zobrazować tu i ocenić dzieje nasze ojczyste. Znamy je pono wszyscy — one dni jasne wielkości i wzrostu a w nich zarazem rozwój literatury i sztuki. — Znamy i pamiętamy smętne dni i godziny upadku i rozstroju społeczeństwa naszego, których konsekwentném odbiciem, jałowość słowa i ducha pod każdym względem.

Dziejowe następstwa upadku i winy — krzyżowe drogi żywota w wiekowéj pokucie przeprowadzając nas z pokolenia w pokolenie, odrodziły i odradzają duchowo rozbite społeczeństwo, — drogą pracy i cnoty zaznaczając mu stanowisko i cześć należną.

Pracą i cnotą domową dobijając się tego stanowiska i czci społecznéj rozwijamy niepokalaną siłę żywotną, któréj wykwitem bogate plony duchowe — uwieńczone imiona uczonych i artystów naszych — błogo sławiona pamięć przodowników i mecenasów myśli i pracy ojczystéj, których nam nie zabrakło nigdy i nie zabraknie, bo choć ojcowie w grób schodzą, to się z ojców syny rodzą — i dziedziczne serce w łonie nieśmiertelnym ogniem płonie, w którym z myśli myśl powstaje i do czynu czyn dodaje, jakim praca, cześć i cnota stroją wielką pieśń żywota!

Takich mecenasów i przodowników — przedstawicieli ducha i cnoty domowéj mieliśmy w Wielkopolsce po wszystkie czasy.

Wieńcem czci i wspomnienia otaczają nas tu w tym gmachu, jakoby opiekuńcze duchy nasze domowe, znane i ukochane postacie, — przedstawiciele myśli i pracy wielkopolskiéj, do dalszego pochodu i ofiar nas zagrzewając.

Pod ich przewodem i natchnieniem wprowadzamy Was dzisiaj do tego przybytku, poczętego ofiarą Ojców a dokończonego groszem i sercem Waszém, odsłaniając Wam nie tylko dziedziczne skarby, ale i myśl dziedziczną i obowiązki spadkobierstwa, które odtąd pod opiekę imieniem tych Ojców Wam oddajemy.

Jedném więc z takich dziedzicznych spadkobierstw duchowych jest na całym obszarze wielkiéj ojczyzny naszéj pierwsza, jedna jedyna i wyłącznie rodzimym duchu poczęta Galerya artystów i rzeczy polskich, którą hr. Mielżyński nam przekazując, myśl i pracę powierzył, jakiéj poczucie i zrozumienie — przyszłość i rozwój, staną się chlubą i obowiązkiem wielkopolskiéj dzielnicy naszéj, — świadectwem potęgi ducha i ofiarności narodu.

Odbierając duchowe to posłannictwo, które hojną dłonią i wielkiém sercem hr. Mielżyński nam przekazuje jako pośrednik i wykonawca pięknéj idei w tym narodowym przybytku sztuki ojczystéj, skłonić nam się wypada z poszanowaniem i uczcić ducha, którego myśl i praca strojnym wieńcem artyzmu nas otaczają — Galerya nasza jest myślą i pracą jednego z tych wyjątkowych synów ojczyzny, którzy wśród życia towarzyskiego ludzi możnych wyższym polotem ducha umieli i chcieli spożytkować dla kraju mienie i wykształcenie na cele wznioślejsze od zwyczajnego poziomu zabiegów i pracy ludzkiéj codziennego żywota bogato uposażonych wybrańców losu. Jest to myśl i praca barona Edwarda Rastawieckiego, pierwszego rzeczywistego a najzasłużeńszego przodownika estetyków polskich, który czynem, nie słowem, sercem i mieniem całém ojczyźnie służąc, odsłonił narodowego piękna dziedziny, prostując drogi tryumfalnego dziś mistrzów pochodu!

Rastawiecki jako rzeczywisty estetyk polski był w ciągu całego życia niezmordowanym pracownikiem idei — i dla idei — opiekunem szczodrym sztuk pięknych, a na ich polu z wyższém uczuciem prawdziwego syna ojczyzny estetykiem Polakiem — orędownikiem i opiekunem sztuki polskiéj, i stał się twórcą i pierwszym przodownikiem nowéj nauki i pracy w obojętnéj na pozór i nieznanéj u nas dziedzinie na odłogiem leżącém polu, rozpoczynając skrzętne zabiegi w duchu rodzimego zadania.

Pomijam wypowiedziane już gdzieindziéj zasługi i prace tego myśliciela narodowego — tego przodownika wiedzy ojczystéj, który nam odsłonił kierunek nowéj myśli i pracy, zaznaczając tylko myśl jego przewodnią, myśl plastycznego, naukowego uosobienia sztuki ojczystéj wyświeceniem źródłowém życia jéj i rozwoju w Polsce, zaznaczenia jéj charakteru narodowego i wykazania znaczenia i wartości idei, która, wytwarzając oddzielny dział naukowy w dziedzinie ducha, miała przynieść pożytek i chlubę następnym pokoleniom, rozwijając w nich poczucie i zamiłowanie piękna w czci i sławie domowéj, któréj stając się duchem opiekuńczym, zapowiadał nam przyszłość nową — epokę dni naszych przygotowując.

Takim duchem i sercem poczęte, w czysto narodowéj idei ofiarą i pracą zebrane, wytworzyły się skarby wiedzy i sztuki ojczystéj któremi dziś Kraków, Warszawa i Poznań uposażone.

Takim duchem i sercem poczęta, rozwinęła się myśl przewodnia utworzenia nieistniejącéj dotąd w ojczyźnie naszéj w tym kierunku oddzielnéj Galeryi narodowéj, którąby była naukowym i historycznym panteonem estetyki polskiéj, charakterystyką rozwoju i wzrostu, zobrazowaniem ducha i pracy naszéj domowéj.

Myśl poważna, poparta ofiarą i poświęceniem, stała się czynem i zebrały się skarby nasze — przeszłość niemal cała — uosobione dzieje estetyki polskiéj, poważny zaczątek panteonu narodowego malarzy i rytowników polskich, który przez hr. Mielżyńskiego szczęśliwie dla nas nabyty, staje się chlubą i posłannictwem naszém, abyśmy, myślą tą ogrzani, wnieśli ducha w nowe drogi, Matce niosąc sercem w dani nowe plony w dom ubogi!

Opatrzność kieruje zawsze sercem i dłonią człowieka; — pod jéj błogosławionym promieniem wykwitają myśli społeczne i rodzą się czynów owoce, któremi ubrane są duchowe drogi społeczeństw i narodów.

Myśl głęboka Edwarda Rastawieckiego, praca jego mozolna, będąca natchnieniem i podwaliną nowéj idei, wyrosły z dala od nas, wykwitając tam w sercu kraju — w ożywionéj i wykształconéj już estetycznie Warszawie.

W ubogim domu naszym było inaczéj; — gorzały tu wprawdzie serca płomieniem miłości świętéj, — pracą uczciwą i cnotą zaznaczone są chlubnie domowe kroniki odłamu naszego, — ale nie wschodziła jeszcze jasna jutrzenka — poczucie i potrzeba estetycznéj idei. Na tém martwém polu mieliśmy wyjątkowe tylko i bezowocne dla społeczeństwa usiłowania.

Na tém martwém polu zajaśniał duchem i sercem estetyk i myśliciel nasz narodowy, i zabłysła, poparta sercem i wolą ogółu, pierwsza myśl założenia Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, — wzrastała i rozwijała się w Miłosławiu świątynia sztuki, bogatą galeryą obrazów zapowiadając.

Pokrewny duchem Rastawieckiemu, Seweryn Mielżyński, sercem gorącém i tą wszechstronną miłością myśli i pracy gniazdowéj, zrozumiał od razu wielkiéj idei znaczenie, — zamarzył o niéj i zapragnął tego nowego życia i pracy kierunku dla rodzinnéj zagrody, któréj ofierze żył i pracował niezmordowany.

Nabywszy te skarby rodzinne, przeniósł galeryą narodową na ziemię naszę — a uposażając ideą pokolenia następne, dziwnym zbiegiem okoliczności, — a raczéj Opatrzności zrządzeniem, położył kamień węgielny poczynającego się życia i pracy estetyki narodowéj, tu na uśpionym Lechitów zagonie, kędy jutrzenka światła pierwszym promieniem prawdy i piękna kraj ożywiła; — gdzie ze światła piękno wstało, — wiara ku niebu nas uniosła, — gdzie na niebie zaświtało, — a w modlitwie myśl urosła i we formy się ubrała pięknem stroiąc swe pacierze, z których najpierw sztuka wstała i początek u nas bierze!

W prastaréj więc kolebce sztuki piastowskiéj — tutaj na wielkopolskim zagonie obok grobów Mieczysławowych, Opatrzność składa Wam w ręce życia i piękna wykwitającą ideę, budując pierwszy panteon narodowy, którego wzrost i rozwój już od Was samych, — nie od wyjątkowych mecenasów i przodowników, ale od dojrzałego społeczeństwa wielkopolskiego zależy.

Od ogółu, nie od wyjątków, — od woli — serca i od ofiary kraju, nie od pojedyńczych jego przedstawicieli, zależy rozwój prac organicznych społeczeństwa naszego.

Zaznaczam więc, co powiedziano już wielokrotnie, że najsilniejszym zawsze motorem, najpotężniejszym mecenasem każdéj myśli i pracy poczciwéj — każdego zakładu narodowego, jest wspólne serce — wspólna siła — mrówczana praca zjednoczonych jednostek, których żywotności i wartości moralnéj one są tylko żywém i nieomylném świadectwem. — Bez zainteresowania się bowiem ogółu, bez serca i bez poparcia wspólnego, pomimo licznych wyjątków pracy, ofiar i poświęcenia — każda instytucya, jakabądźkolwiek, martwą li tylko pozostanie literą, — chwiejnym zazwyczaj i chorobliwym pomnikiem wyjątkowéj zasługi i dobréj woli, — kwiatem ducha, zwarzonym obojętnością i chłodem niedorosłego zadaniu społeczeństwa.

Od nas więc samych, od publiczności wielkopolskiéj zależy, ażali myśl i praca Rastawieckiego i serce śp. Seweryna ożywią życie nasze domowe, wzbudzą tę cześć i dumę gniazdową, zamiłowaniem piękna i utrzymają dziedzictwo powierzonéj idei uosobienia dziejów artyzmu narodowego tu w domu naszym, który jest pierwotną chrześciaństwa polskiego i nierozdzielnéj z niém sztuki polskiéj kolebką.

Panowie! ta cześć ojczysta i praca domowa w pełnym już w Wielkopolsce stanęły rozwoju!

Przyjmując Was tutaj w gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk w uroczystéj chwili otwarcia i poświęcenia skarbnicy naszéj, z uczuciem dumy i wdzięczności serdecznéj zaznaczam i wypowiadam wobec górujących nad nami cieniów ojczystych, — wobec szczodrego założyciela tego zakładu, — wobec całego szeregu zgasłych już dobroczyńców i protektorów rozwijającéj się u nas idei myśli i pracy domowéj, — że co z Ojców jest poczęte — to dla synów wiecznie święte, — więc co w sercu ich gorzało, to się przez Was czynem stało!

Dzięki więc, — serdeczne dzięki! — tym wszystkim, którzy naszéj idei wielkopolskiéj serce swe otworzyli, wedle możności nam dłoń podając.

Cześć i dzięki serdeczne żywotności i sercu miasta Poznania, które duchem i miłością ofiarną podjęte otoczyło zadanie.

Cześć i dzięki dalekiéj braci artystom naszym, którzy ze czcią dla idei przesyłając nam swoje dary — serce i imię polskie w panteonie tym zapisali.

Cześć tym wszystkim i sława — i Ojców naszych błogosławieństwo na drodze dobrowolnéj ofiary i poświęcenia,

Która wiodąc w imię Boże
Cuda u nas stworzyć może...
Wieńcem polskiéj czci i chwały
Strojąc piękna ideały!

Przemówienie konserwatora.

Pewien znakomity cudzoziemiec, słysząc niedawno o różnorodnych i bogatych zbiorach naszego Towarzystwa, zapytał ciekawie, jak wielkiéj państwowéj pomocy zawdzięczamy utworzenie téj pięknéj instytucyi, a nie mógł zrozumieć i niemal uwierzyć nie chciał, iżby tak trudne zadanie można było spełnić jedynie prywatnemi siłami, bez postronnego poparcia.

Potrzeba było istotnie silnéj wiary i wielkiéj odwagi, aby w danych stósunkach rozpocząć tę olbrzymią pracę — a co nierównie rzadsza, niespożytéj wytrwałości, głębokiego poczucia potrzeby i świadomości celu, aby się nie zrazić przeszkodami, i jak to zbyt często niestety bywa, nie stanąć w połowie drogi.

„Pośród licznych zewnętrznych trudności — są słowa jednego z założycieli Towarzystwa — bez zasobów, bez środków do pokrycia pierwszych potrzeb, bez miejsca własnego do zebrań, bez innéj podniety nad mocne przeświadczenie o pożytku zespolonéj dla kraju pracy, przystąpiliśmy w imię Boże do dzieła.“

Po ćwierć wieku dopiero ziściło się marzenie tych szanownych ludzi, aby zgromadzić zbiory, odpowiednie tegoczesnym naukowym potrzebom i pomieścić je we własnym gmachu. Ćwierć wieku, to już znaczny okres czasu, ale jest on krótkim ze względu na ciężkie warunki i brak środków, ze względu na to, że w pierwszych latach musiało Towarzystwo wedle słów poety:

„Być arcydziełem nieugiętéj woli,
Co gmach swój stawia z niczego powoli.“

Gmach ten, wzniesiony z niczego, poświęceniem jednostki i ofiarnością ogółu, który w tym ćwierćwiekowym peryodzie pracował dla przyszłości — stanął jako schronienie rodzinnych muz, literatury, nauki i pamiątek ojczystych.

Szlachetne ofiary bardzo wielu osób z różnych stron kraju złożyły się na całość obecnych zbiorów. W ich rzędzie naczelne, wyjątkowe miejsce, jako właściwemu twórcy muzeum, jak to już przedemną wypowiedziano, należy się nieśmiertelnéj pamięci Sewerynowi hr. Mielżyńskiemu. Trudno na razie wyliczyć wszystko, co zawdzięczamy hojności tego czcigodnego obywatela: dość powiedzieć, że pomiędzy różnemi działami naszego zakładu nie ma ani jednego, któregoby w mniejszéj lub większéj mierze nie zasilił. Przedewszystkiém stworzył obie galerye obrazów.

Galerya artystów i rzeczy polskich, wyjąwszy nowsze nabytki i dary, składa się z trzystu blisko obrazów, które hr. Mielżyński zakupił od br. Rastawieckiego, i kilkudziesięciu, które sam zgromadził. Znajdują w niéj pomieszczenie obok dzieł, dokonanych przez rodowitych Polaków, utwory artystów obcych, którzy zamieszkawszy w Polsce, poświęcali swój pędzel polskim przedmiotom. Z tych komuż tutaj słuszniéj przypada zaszczytne miejsce, jak temu, co aureolą sztuki opromienił ostatnie, smutne dziesiątki lat politycznego bytu Rzeczypospolitéj, — choć zrodzony w metropoli chrześciańskiego świata, więcéj, niż pół wieku spędził w Polsce, przywiązał się szczerze do przybranéj ojczyzny, sam tu złożył strudzoną głowę i potomstwo swoje w polskim obyczaju wychował. Któż nie odgadnie, że mamy na myśli niepospolitego i niezmordowanego malarza dworu Stanisława Augusta, którego dwadzieścia jeden dzieł, przeważnie portretów króla, jego rodziny, matki, sióstr i braci zdobi galeryą artystów polskich, a to tém słuszniéj, że mamy prawo uważać go za swego.

Nie mniéj słusznie powiedzieć to można o słynnym Dolabelli Tomaszu, malarzu nadwornym trzech królów, Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, który również pół wieku z górą przeżył w Polsce, a związkiem małżeńskim połączył się z córką pamiętnego w dziejach naszéj literatury drukarza, Jędrzeja Piotrkowczyka.

Rozgłośnéj niegdyś sławy portrecista, Lampi Jan Chrzciciel, ojciec, bawił, jak wiadomo, w Warszawie przez lat cztery; téj to okoliczności zawdzięcza nasza galerya trzy niezwykłe portrety, pomiędzy któremi przewyborny wizerunek Szczęsnowéj z Mniszchów Potockiéj.

Godziłoby się jeszcze wspomnieć o pełnych wdzięku i świeżości kolorytu portretach Józefa Grassi, który w ostatnich latach XVIII wieku bawił w Warszawie, o ładnych krajobrazach i portretach Norblina de la Gourdine, który sprowadzony do Polski przez księcia generała Ziem podolskich, Adama Czartoryskiego, żył w niéj przez lat 32, stworzył w Warszawie szkołę malarską, i wykształcił takich artystów, jak Orłowski, — wreszcie o rodzajowych obrazkach słynnego pastelisty, długoletniego mieszkańca Warszawy, Ludwika Marteau.

Nie możemy równie szczegółowo, jak malarzy obcego pochodzenia, wymieniać rodowitych polskich artystów, bo jest ich zbyt wielu, abyśmy choć o wybitniejszych siłach mówić mogli, a suchem wyliczaniem nazw znanych już z drukowanego katalogu nie chcemy nużyć szanownych słuchaczy. Nie myślimy przeceniać artystycznéj wartości téj galeryi, któréj główna zaleta polega na tém, że obejmując rzadkie dziś płótna dawniejszych malarzy naszych, daje niejako obraz stopniowego historycznego rozwoju polskiego malarstwa i z tego względu jest jedyną w swoim rodzaju, ale wiele jéj nie dostaje, aby dać mogła dokładne wyobrażenie o stanie polskiéj sztuki, która wtedy właśnie rozkwitła i zajaśniała najpełniejszym blaskiem, gdy Rastawiecki nie gromadził już jéj płodów, a ubogie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wszedłszy w posiadanie galeryi, nie mogło jéj pomnażać i uzupełniać coraz świetniejszemi utworami swojskich mistrzów. Niemniéj przeto jest to bardzo ciekawy i ze wszech miar szacowny zawiązek wielkiéj, da Bóg kiedyś, narodowéj galeryi, któréj szybki wzrost powinien leżeć na sercu możnych rodzin kraju, mogących bez uszczerbku dla siebie nabyć po obrazie od celniejszych artystów.

W ten sposób obok Chodowieckiego, Smuglewicza, Suchodolskiego, znakomitego Orłowskiego, którego posiadamy dwadzieścia utworów, obok Brandta, Kossaka, Piotrowskiego, Gryglewskiego, Eljasza, Maleszewskiego, zajaśniećby mogli upragnieni przez nas Grottger, Siemiradzki i tylu innych współczesnych malarzy z Matejką na czele, którego tylko studya rysunkowe z lat młodych mogliśmy dotąd uzyskać z łaski ks. kan. Polkowskiego.

Galerya mistrzów obcych nosi nazwę Miłosławskiéj dla tego, że powstała i mieściła się w siedzibie naszego wspaniałomyślnego mecenasa, jego usilnym staraniom i zabiegom, jego wielkiemu zamiłowaniu i znawstwu sztuki zawdzięcza swój początek. Jest to świetna kollekcya, którą mogłaby być ozdobą każdego, nawet stołecznego muzeum, tém cenniejszym przeto skarbem jest dla ubogiego w dzieła sztuki Poznania.

Na zgromadzenie tylu utworów znakomitego pędzla różnych wieków i krajów mógł się zdobyć tylko mąż, który zgłębił tajniki sztuki, gorąco ją ukochał i na zakupno szczęśliwie spotykanych malowideł nie szczędził dochodów wielkiéj fortuny.

Kompetentniejszego pióra i dogodniejszéj pory trzebaby było na opis téj wspaniałéj galeryi, któréj każdy niemal obraz wymaga osobnego studyum, my zaś dla braku czasu kilka zaledwie słów poświęcić mu możemy. Są w niéj reprezentowane wszystkie znakomitsze szkoły europejskiego malarstwa od XV do XVIII wieku, najobficiéj jednak szkoła włoska i flamandzka. W pierwszéj, począwszy od Vivizaria i Gentile da Fabriano, możemy przytoczyć sławne imiona Domenichina, Guido Reniego, del Sarta, Carla Dolce, Palma Jacomo (il Vechio), Salvatora Rosy itd. W drugiéj Van Eycka, Lucasa van Leyden, Rubensa, Van Dycka, Ruysdaela Jakóba i wielu innych. Szkołę francuzką zdobią Poussin Mikołaj i Kasper, Le Sueur, Lancret; na czele staroniemieckiéj szkoły stoi Cranach. Hiszpanią przedstawiają godnie tacy malarze, jak Velasques de Silva i wielki Murillo, którego pędzel jaśnieje u nas w dwóch świetnych płótnach, w ekstazie św. Franciszka i znakomitym, pełnym wyrazu i typowéj charakterystyki portrecie nieznanego mężczyzny.

Oprócz wspomnianych co dopiero dwóch galeryi posiada jeszcze Zakład trzecią, skromniejszą od tamtych pod względem wartości artystycznéj i mniejszą liczebnie, niemniéj jednak zasługującą na uwagę znawcy, który w niéj znajdzie niejednę rzecz dobrą. Mówimy o obrazach, darowanych przez Stefana hr. Ciecierskiego a zawieszonych w osobnéj salce.

W sprawozdaniu niniejszém, z konieczności bardzo zwięzłém, nie podobna nam się rozwodzić nad zbiorami rycin, numizmatów i rzeczy pamiątkowych. Powstały one z licznych, po większéj części drobnych darów, lecz wszędzie, powtarzamy, znać hojną rękę największego naszego dobrodzieja. Kolekcya rycin, znakomita doborem i liczbą, bo dochodzi do cyfry kilkunastu tysięcy egzemplarzy, począwszy od najcenniejszych i najrzadszych z XV wieku — nabył śp. Mielżyński od Rastawieckiego; nie inaczéj ma się rzecz z numizmatami, a i w muzeum archeologicznem odznaczają się zakupione przez niego piękne wykopaliska pompejańskie z bronzu, miedzi, terrakoty, gliny i szkła, ułomki ścian z freskami, nadto zaś starożytności egipskie.

Przedmioty te, przybysze z obcych, dalekich krain, odbijają swą odrębną fizyognomią, wybitnym charakterem i wykwintną formą od innych, wśród których długiego szeregu nikną i giną. To téż stoją obok nich tak osamotnione i czują się w tém obcém towarzystwie tak nieswoje, jak niegdyś zabłąkany wędrowiec z południa czy wschodu czuć się musiał wśród obcych sobie strojem, językiem i duchem, wielkim tłumów słowiańskiego ludu. Jakoż nasz gabinet archeologiczny mieści w sobie niemal wyłącznie rzeczy, wydobyte z ziemi wielkopolskiéj, i ta specyalność jest właśnie wielką jego zaletą.

Nie dawne to czasy, gdy idąc za ogólnym w Europie prądem, i obywatelstwo naszéj dzielnicy powzięło piękną myśl przyłożenia się do rozwoju nowéj nauki. Z godnym uznania zapałem wydzierano łonu ziemi tajemnice dawno przebrzmiałego życia, owoce gorliwych poszukiwań składając w darze Towarzystwu. Niezadługo jednak ostygł ten zapał, któremu winniśmy zbiór tak bogaty. Tymczasem wiele cennych przedmiotów wywieźli obcy po za granice kraju naszego — Towarzystwo zaprzątnięte budową gmachu, nie mogło na własną rękę podejmować wycieczek, narażających na nie małe koszta, a nawet gorące zamiłowanie jednostek nie przynosiło spodziewanych korzyści, albowiem zakochani w odkrytych przez siebie wykopaliskach amatorzy, nie składają ich już, jak dawniéj bywało, dla publicznego użytku, lecz współzawodniczą niejako z nami, tworząc własne prywatne kollekcye.

Na szczęście nie brak wskazówek, że ta pora przejściowa już mija; w ostatnich miesiącach wpłynęło do muzeum niemało ważnych zdobyczy archeologicznych, a z dochodzących nas głosów wolno wnosić, że gdy natura z wiosną obudzi się do nowego życia, obywatelstwo raźniéj znowu zechce się wziąć do poszukiwań, aby przyspieszyć tę

OMBRA

przez

M. A. Gennevraie.

Przetłómaczyła

Z. Lasocka.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy. — Zob. num. 255.)

Na tę niespodzianą wiadomość stara księżna nie mogła utaić przykrości i pod jéj wrażeniem stała się nader wymowną, usiłując odwieść swą młodą krewną od projektowanego tak nagle wyjazdu zapewnieniami o swém serdecznem do niéj przywiązaniu i tęsknocie, na jaką utrata jéj towarzystwa odtąd ją skazuje — słowem nie zapomniała o żadnym możliwym argumencie na poparcie swéj prośby o przedłużenie pobytu Minii w zamku stevewilskim. Widząc zaś, że Minia pozostaje wciąż nieugiętą w swém postanowieniu, kazała poprosić syna, w nadziei, że jemu lepiéj się może uda poprzeć jéj zaproszenie. Książę, gdy mu matka oznajmiła o zamierzonym wyjeździe lady Stève z ich domu, zbladł mocno, a jednak słowa, wychodzące z ust jego, nosiły na sobie cechę bardzo zwyczajnéj grzeczności, i gdyby nie to, że twarz jego zmieniony miała wyraz, gdy wspomniał jéj w kilku słowach o nadziei niedługiego powrotu jéj do Anglii, żadne uczucie nie malowało się w téj formie najpospolitszéj grzeczności. To zapewne utrwaliło Minią w jéj przedsięwzięciu, gdyż na kilkakrotnie ponowione nalegania księżnéj odpowiadała jéj ciągle, że w żaden sposób dłużéj pozostać nie może.

— W takim razie musisz mi przynajmniéj dać słowo, że do nas powrócisz, jak tylko będziesz mogła najprędzéj, kochanko. Jakże tu smutno będzie po twoim odjeździe, gdyż ty byłaś prawdziwą duszą naszego towarzystwa. Mój Boże! coby to mogło zatrzymać ją u nas na dłużéj? — wyrzekła z westchnieniem zacna matrona.

— Może przyjemność wygrania nowego zakładu potrafiłaby tego dokazać — wtrącił z przymusowym uśmiechem lord Whitefield.

— Jeden aż nadto mi wystarcza! — odparła z chłodną dumą Minia — a zwracając się do księżnéj dodała z tkliwą serdecznością w głosie: Spodziewam się, że mnie odwiedzisz we Włoszech, kochana ciociu, a wówczas postaram się odwzajemnić się równie uprzejmą gościnnością, jak ta, któréj doznałam u państwa. Co do ciebie, kuzynku, mam nadzieję, że twoje zamiłowanie do podróży zapędzi cię kiedyś do mego zakątka w Alpino — wyrzekła — nie patrząc przy tych słowach na księcia, stojącego nieruchomie we framudze okna, a wówczas mam nadzieję, że nie zapomnisz sprawić mi przyjemności powitania cię u siebie.

Mówiąc to biedna, miała łzy w oczach, lecz stłumiła natychmiast, opanowywujące ją wzruszenie, nie dozwalając nawet perlącym się w jéj źrenicach łzom wybiedz na powieki. Gdyby Wiliam skorzystał był z téj chwili, jedno słowo jego wystarczyłoby do zmazania całego żalu, jaki do niego czuła, lecz słowo to nie zostało wymówioném przez niego i za całą odpowiedź książę ukłonił się tylko w milczeniu....

Lady Stève zbyt była znękaną i rozstrojoną, aby mogła mieć odwagę żegnać się z resztą obojętnych jéj całkiem osób, kazała więc tylko poprosić pana de Bocé, którego smutek, gdy się dowiedział o mającym nastąpić dnia tego wyjeździe Minii, objawił się w sposób tak wzruszający, że Minia do głębi duszy czuła się nim rozrzewnioną.

— Co my tu będziemy robili bez ciebie, droga moja, piękna, kochana przyjaciółko! — zawołał ze szczerym wybuchem żalu. Dla czegoż ten niegodziwy Barini wzywa cię tam do siebie tak koniecznie, jak gdyby sam nie potrafił chorować bez twego towarzystwa. Doprawdy, aż zły jestem teraz na siebie, że się tak bardzo przywiązałem do ciebie, kiedy od nas uciekasz, najdroższa lady.

— Tak jest! zniknę z przed waszych oczu, jak cień, tj. jak Ombra! — odparła ze smutnym uśmiechem Minia.

Przy uczynionéj wzmiance o Ombrze Wiliam blady i z brwią chmurnie zmarszczoną żywe na Minią rzucił spojrzenie, ale ona w téj saméj chwili objęła w uścisku serdecznym starą księżną, poczém podała rękę na pożegnanie swemu kuzynowi i ująwszy pod ramię hrabiego, poprosiła go, ażeby odprowadził ją do jéj pokoi.

— Wyznaj szczerze, kochana lady — rzekł hrabia — iż musieliście się posprzeczać z Wiliamem, z którego posępnéj twarzy domyślam się, że cała historya o chorobie tego starego człowieka jest tylko zręcznie wymyślonym pretekstem z twéj strony. Wiliam widocznie jest smutny i ma z pewnością jakiś żal do ciebie; gdyby tak nie było — jestem przekonany — że nie pozwoliłby ci odjeżdżać ztąd i nie udawałby, że go to wcale nie obchodzi. Przypuszczam, że musiałaś pani chyba odrzucić wyznanie jego miłości, bo on cię kocha, wierzaj mi, droga milady. Przebacz mi, że się wdzieram trochę niedyskretnie może w wasze tajemnice, ale pochodzi to z przyjaźni, jaką mam do was obojga, a zarazem ze słusznego, jak mi się zdaje, przypuszczenia, iż pomiędzy księciem a panią zaszło wyraźnie jakieś niewyjaśnione dotąd nieporozumienie. Nie byłoby w tém wreszcie nic dziwnego, zakochani bowiem najczęściéj bywają ślepi i niezręczni.

— Przypuszczenie twoje, kochany hrabio, jest zupełnie mylném, gdyż żadne nieporozumienie nie miało pomiędzy nami miejsca — odparła Minia, czerwieniejąc się nieznacznie. — Nie wiem także, czy książę mnie kocha tak, jak pan powiadasz, lecz w każdym razie zaręczyć mogę, że ja się w nim wcale nie kocham — dorzuciła, odwracając się od starego przyjaciela swego dla pokrycia mimowolnego pomięszania.

— Musiałem się zatém grubo omylić — wyrzekł pan de Bocé. — Cóż robić? gdybym miał tak trzydzieści lat mniéj, jak dzisiaj, pogoniłbym sam za tobą do Włoch, droga milady, lecz ponieważ w moim wieku nie można już robić szaleństw, ograniczyć się zatém muszę na odprowadzeniu cię aż do statku, jeśli na to pozwolisz.

— Dziękuję ci, kochany przyjacielu, i jak najchętniéj przyjmuję twą propozycyą. Dodać tylko muszę, że czułabym się na prawdę bardzo uszczęśliwioną, gdybyś mnie hrabia odwiedził w Alpino, gdzie pragnęłabym ci okazać, jak wysoko cenią twą przyjaźń dla mnie, a zarazem dowieść, że odwdzięczam ci się wzajemném przywiązaniem — odpowiedziała młoda kobieta z tak szczerém uczuciem, że hrabia, przejęty niém do głębi serca, odszedł czémprędzéj, aby łzy cisnące mu się do oczu powstrzymać.

Przez ten czas Wiliam, zamknąwszy się u siebie, w smutnéj pogrążony był zadumie, gdyż hrabia nie mylił się, utrzymując, że książę rzeczywiście zakochanym był w pięknéj Włoszce, ale nie z tą samą namiętnością, jaką wzbudziła w nim Minia pod postacią Ombry swoim talentem, głosem i sztuczną maską na twarzy. Miłość jego teraźniejsza do lady Stève właśnie dla tego była trwalszą a zarazem głębszą od tamtéj, iż zwolna zbudziła się i dojrzała w jego sercu. Ulegając pomimo woli silnemu wrażeniu, jakie na nim czyniła jéj piękność połączona z wysoko ukształconym umysłem i wdziękiem, dodającym niesłychanego uroku osobie jego zachwycającéj kuzynki, któréj wesołe usposobienie i miły charakter usprawiedliwiały dostatecznie wywołane w jego sercu uczucie. Wiliam byłby się czuł bardzo szczęśliwy, gdyby mógł być pewnym jéj wzajemności. To téż doznał teraz nader bolesnego rozczarowania, gdy w ciągu ostatniego tygodnia okazała mu się w tak niekorzystném świetle, przedstawiając mu się całkiem inną, niż dawniéj, tj. kokietką, nie mającą serca. Oburzenie, jakiego doświadczał w skutek niespodziewanogo owego zawodu, tłumiło nawet w jego wyobrażeniu żal, spowodowany myślą o jéj odjeździe. W każdym razie biedny młodzieniec czuł się niewymownie przygnębiony i nieszczęśliwy, nie przypuszczając ani na chwilę, aby jego wycieczka do Londynu była jedyną przyczyną nagłego jéj postanowienia, zwłaszcza, że ona sama pomyślnie zdawała się go zachęcać do téj podróży, odkładając chwilę wspólnego spotkania na następny dzień za pośrednictwem hrabiego. Był to zatém z jéj strony żart, dowodzący zbyt wielkiéj lekkomyślności właśnie w chwili, gdy mu się zdawało, że może być pewnym jéj wzajemności. W istocie wszystko tak, jak to słusznie hrabia powiedział, było tylko pomiędzy niemi nieustannem nieporozumieniem i omyłką, a to zacząwszy od śniadéj cery Ombry, tak sprzecznéj z alabastrowo białą płcią lady Stève i wywołanéj tém fałszywém położeniem zazdrości kochanki, a zarazem gniewu kochanka aż do oskarżeń i niesłusznych żalów, jakie względem siebie żywili wzajemnie. Tak wszystko to było nieprawdą, prócz utajonéj a wspólnéj im obojga rozpaczy!

Książę był jednak, jak się to często zdarza u zakochanych, zbyt daleko zapędzonym, aby mógł zdać sobie jasno sprawę z całego teraźniejszego położenia, czuł tylko szalony gniew, burzący się z coraz gwałtowniejszym żalem do téj płochéj, lekkomyślnéj kobiety, igrającéj bez najmniejszéj litości z uczuciem zacnego człowieka.

Niechaj odjeżdża, kiedy chce — mówił sobie z tłumioną goryczą — i bodajbym nie potrzebował jéj nigdy w życiu mojém oglądać. Omyliłem się, sądząc czas jakiś, że ona jest panią serca mego. Nie! należy ona do owéj niezwykłéj piękności, któréj prześliczne śniade oblicze nie przestało być dotąd obecne méj wyobraźni i sercu. Byłbym doprawdy słabszym od najsłabszego dziecka, gdybym miał czuć się przygnębionym smutnym po jéj odjeździe.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

pożądaną chwilę, w któréj na podstawie rozległych materyałów będzie nam mogła nauka dać prawdziwy, nie urojony obraz przedhistorycznego życia naszych praojców, i w ten sposób odległą, mgłą niepamiętnych wieków zaćmioną przeszłość, związać z czasami historycznemi.

Dla tak ważnego celu warto zaprawdę nie szczędzić kosztów, ni trudu.

W skład biblioteki głównéj Towarzystwa wchodzi jako dar pierwszorzędny znakomity zbiór książek i map, nabyty przez hr. Mielżyńskiego od br. Rastawieckiego, który tym przedmiotem specyalie się zajmował jako autor dzieła o mapograffi — oraz pięć tysięcy tomów z Miłosławia, między niemi jedyny może tak pełny zbiór dzieł i broszur w języku francuskim, niemieckim i angielskim, traktujących o Polsce, jéj literaturze, historyi, szczególniéj o wypadkach i katastrofach bieżącego wieku.

Podobnym darem, tylko bez porównania wcześniéj wsparło młodą instytucyą głośne niegdyś w Wielkopolsce Kasyno gostyńskie. Założone w roku 1836, miało ono za cel obok towarzyskich rozrywek, pielęgnowanie języka i pamiątek narodowych. W rok po założeniu Tow. Przyj. Nauk rozwiązało się Kasyno w przekonaniu, że wyższym celom, którym prognęło służyć, lepiéj od niego odpowie nowe stowarzyszenie; dla tego też ustępując z pola, przekazało mu w spadku biblioteczkę, prowadzoną przez lat z górą dwadzieścia, a zawierającą prócz wydawnictw poważniejszych bardzo obfity, jeżeli nie kompletny dział literatury beletrystycznéj i pamiętnikowéj warszawskiéj z epoki, odgradzającéj kongres wiedeński od dni listopadowych.

Patryotyczny przykład Kasyna gostyńskiego znalazł licznych naśladowców w kołach inteligentnego ogółu. Pomiędzy osobami, które znaczniejszemi ofiarami przyczyniły się do szybkiego wzrostu biblioteki wymienić należy hr. Edw. Grabowskiego, hr. Stefana Ciecierskiego, Faustyna Haak z Nowca, księdza dra Winc. Kraińskiego, J. K. Zupańskiego, pułkownika Ferdynanda Chotomskiego, rodzinę Moraczewskich, Kaź. Kantaka, hr. Rajmunda Skórzewskiego, panią Elżanowską i innych. Hr. Grabowski darował nabytą przez siebie nader cenną bibliotekę śp. dra Gąsiorowskiego, złożoną z samych dzieł lekarskich, po części bardzo rzadkich, które temuż posłużyły za materyał do napisania czterotomowéj Historyi sztuki lekarskiéj w Polsce, nadto ofiarował roczny fundusz w wysokości 25 tal. na pomnażanie zbioru nowemi książkami z zakresu medycyny i nauk przyrodzonych. Ks. dr. Kraiński darował nam kilka set tomów i tysiąc talarów w papierach, odsetki z nich w ilości 50 tal. rocznie przeznaczając na zakupno książek. Pani Elżanowska z Paryża ofiarowała pięć set kilkadziesiąt tomów, pozostałych po jéj mężu, rodzina Moraczewskich około tysiąca tomów po znanym historyku Jędrzeju Moraczewskim, p. J. K. Zupański, którego ofiarność oby choć w drobnéj cząstce znalazła echo w polskim świecie księgarskim, kilkaset dzieł własnych nakładów, pułkownik hr. Chotomski przeszło tysiąc tomów dzieł, przeważnie obcych, zwłaszcza francuskich, Haak około 3000 tomów, wreszcie Koło Towarzyskie od lat wielu po upływie roku obdarza nas abonowanemi przez siebie pismami czasowemi, a ileż to jeszcze osób składało skromniejsze ofiary po jednéj, kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt książek! Darów tych była tak wielka liczba, że biblioteka główna mogłaby już być niemal podwójnie tak wielką, jak jest obecnie, gdyby nie nadzwyczajna mnogość dubletów, jako naturalne następstwo sposobu jéj powstawania. W dawniejszych latach rozdarowano wiele z pomiędzy nich, od kilku miesięcy zaś sprzedajemy je, aby z tego źródła mieć fundusz na niezbędną oprawę książek. Na systematyczne uzupełnianie jednostronnie tylko wpływających darów, brakło ostatniemi czasy funduszu; z dawniejszych też lat wiele mamy szczerb dotkliwych.

Najwspanialszym darem książkowym jest ofiara rodziny ks. prałata Koźmiana, która chętnie poniosła znaczne koszta, aby tylko pozostałą po nim bibliotekę ocalić od rozbicia. Nie mogła rzeczywiście rodzina lepiéj uczcić zasług i pamięci swego członka, jak umieszczając bibliotekę między zbiorami Towarzystwa i zapewniając jéj w ten sposób bezpieczeństwo, całość i użyteczność dla rodaków. Składa się ona z blizko 8000 dzieł w dwudziestu kilku tysiącach tomów. Jest to zbiór tém szacowniejszy, że go przez całe życie gromadził mąż rozległéj i wielostronnéj nauki, nie szczędząc ofiar, gdy mu się nastręczała sposobność nabycia drogich i rzadkich dzieł. To też nie ma w nim powieści i romansów, nie ma tych ramot i błahostek drukowanych, któremi przepełnione bywają częstokroć publiczne nawet biblioteki, lecz pełno natomiast wydawnictw źródłowych i kronik, starych druków XVI i XVII stulecia, a między niemi białych kruków bibliograficznych, w których się zmarły tak kochał i tak je znał wybornie, jak gdyby był bibliografem z zawodu. Każdego, kto choć tylko pobieżnie rzuci okiem na ten znakomity księgozbiór, uderzy od razu jego poważna, uszanowanie wzbudzająca powierzchowność, te stare, piękne edycye, wyglądające z sędziwych, imponujących opraw, jak gdyby z po za pomroki wieków, które widziały ich narodziny.

Drogocenna ta spuścizna po uczonym kapłanie, zbierana systematycznie w pewnym określonym kierunku, z jasno wytkniętą myślą przewodnią, jest niejako przeciwstawieniem szacownéj zkądinąd biblioteki głównéj, w którą weszły bez wyboru dzieła wszelkich rodzajów, odźwierciedlające czasem najrozmaitsze upodobania i gusta niezliczonych dawców — tak że w sąsiedztwie czcigodnych wiekiem pierwszych druków i rzadkości bibliograficznych lub najświętobliwszym duchem natchnionych dzieł treści mistycznéj, można spotkać nierzadko wyuzdane płody najrozwiązlejszéj imaginacyi. Dla tego też słusznie stanowi biblioteka Koźmianowska odrębną całość a powiększa się z każdym rokiem dzięki rodzinie śp. Prałata.

Obydwie biblioteki stoją odtąd otworem dla ogółu; z tych bogatych zasobów umysłowych mogą miłośnicy literatury korzystać w czytelni, a pod pewnemi warunkami i w domu, gdyż biblioteka ks. Koźmiana została już dawniéj uporządkowana, katalogizowanie zaś biblioteki głównéj jest na ukończeniu.

Dział rękopisów i dokumentów nie jest dotąd liczny i nie wiele zawiera ważnych i starszych numerów — przeważna większość pierwszych pochodzi z XVIII i XIX wieku, lecz na początek nie jest dotychczasowy zapas bez znaczenia. Dokumentów pergaminowych mamy 150, manuskryptów, powtarzam, różnéj wartości i objętości, około pięciuset.

Po tém krótkiém i pobieżném wyliczeniu zbiorów, niech nam wolno będzie wyrazić żywą nadzieję, że przebywszy już najtrudniejszą porę, stoimy w przededniu pomyślniejszych czasów, że niebawem zbierać zaczniemy owoce zacnego posiewu, że instytucya ta przyczyni się niemało do podniesienia umysłowego poziomu dzielnicy naszéj, ułatwiać będzie pracę naukową uczonym a młodszéj generacyi i szerszemu ogółowi dopomagać w trudném u nas zadaniu umysłowego kształcenia. Spełnienie tych uprawnionych nadziei zawisło od współdziałania wielu czynników, od dobréj woli ogółu członków i całego społeczeństwa; co do nas, zapewnić możemy, że najusilniejszém naszém staraniem będzie uczynić zadość wszelkim uzasadnionym wymaganiom, że służyć będziemy wedle sił i możności każdemu, kto do tego przybytku sztuki i nauki wstąpi celem zaczerpnięcia wiedzy i światła lub odetchnięcia w atmosferze nieśmiertelnego piękna.

„Dziennikowi Poznańskiemu."

1. Inicyatywa i decyzya w sprawach politycznych, o ile to dotyczy działalności parlamentarnéj — a o tém była mowa, jest prawem Koła sejmowego. Wolno jest prasie wypowiedzieć swe życzenia, wskazywać na potrzehy, ale nie wolno narzucająco występować z instrukcyami. Prasa jest i winna być pośrednikiem — ale nie mentorem. Nie potrzebuje „opinia" siedzieć z założonemi rękoma, bo jéj przysługuje prawo krytyki tego, co Koło robi, ale nie prawo ciągłego strofowania za to, czego Koło zrobić w danym razie nie może.

2. Cieszy nas bardzo, że „Dziennik Poznański" przyznaje i „Kuryerowi" i reprezentowanym przez niego zasadom prawo swobodnego wyrażania swych przekonań. Jest to postęp; przed kilku laty uważał „Dziennik" aspiracye do takiéj swobody „uroszczeniem ze strony kilku świeżo wyświęconych kleryków," „kohorty demagogów," „Pankracych w sutannie" okrywających płaszczem powagi hierarchicznéj swe socyalistyczne zachcianki. Przypominamy wyrażenia „Dziennika Poznańskiego" o „czernidłach, potwarzach, oszczerstwach, nikczemnych strzelaniach z zapłotu, ciurów nocnych, lupieżców, mętów i brudów, jakie ma każda partya — a więc i katolicka." (Num z 1 sierpnia 1876) — o „wyłączności klerykalnéj, ultramontańskiéj, hierarchicznéj — o masce obłudy, którą zdzierał z „Kuryera" zarzucając mu „chęć dzielenia społeczeństwa naszego na negretów i merynosów; — o „lokajach partyi," o „nadużywających sutanny młokosach," o „niepowołanych monopolistach interesu kościelnego," o „szatańskiéj siejbie tém więcéj oburzającéj, że rzuconéj z wyzyskiwaniem godła Kościoła, miłości i bratniéj zgody." Dnia 10 sierpnia 1876 napisał „Dziennik Poznański:" „Jakież to piękne słowa — szkoda, że tylko słowa! A wiecie co one znaczą? Oto wedle „Kuryera Poznańskiego" „z godnością a zgodnie" bez stronniczych zachcianek, to znaczy „wybierajcie tylko tych, których my Wam przedstawimy itd."

Były więc czasy, w których nam „Dziennik" w sposób co najmniéj niewłaściwy téj swobody i wolności odmawiał.

3. Nie zarzucaliśmy „Dziennikowi" żadnych nieuczciwych intencyi, tylko chęć popisania się w obec swych czytelników. Przypominamy natomiast, że przez lat kilka zarzucał „Dziennik" bez przerwy „Kuryerowi" jakieś intencye, które np. w numerze z dnia 3 września 1876 tak sformułował: „Co ma na celu wiec polsko-katolicki? naturalnie nic innego, jak tylko daléj prowadzić ową grzeszną robotę, jakiéj tak smutny dano wyraz na walnych zebraniach wyborczych, oto rozbijać coraz więcéj biedne społeczeństwo nasze, oto dążyć per fas et nefas do zagarnięcia nad niém władzy — oto dla grzesznych stronniczych celów wyzyskiwać dobrą wiarę ludu; a miasto oświecać go... podszczuwać go i karmić nienawiścią do braci jego własnych.".

Niech „Dziennik" przeczyta sobie rocznik 1876 r. przez lipiec, sierpień i wrzesień — a potém niech się obejrzy w koło siebie i „z ręką na sercu" odpowie, kto zawinił. „Dziennik" pyta cobyśmy powiedzieli, „gdyby podejrzywał nieskazitelność naszych uczuć katolickich", jak gdyby tego nigdy nie robił — i jak gdyby powyższe cytaty pochodziły z łamów „Posener Ztg.", a nie jego własnych. „Tego nie czynimy — woła „Dziennik" — i nie uczynimy na przyszłość. Przyjmujemy to zapewnienie — ale dla zupełności powinien był „Dziennik" dodać — „atoli czyniliśmy dawniéj, — staczając się w przepaść wcale nieparlamentarnéj burdy..."

Tyle uważaliśmy za potrzebne przypomnieć nie dla polemiki, bo téj nie pragniemy, tylko dla wykazania, jakim był „Dziennik Pozn." przed 6 laty, — i w téj nadziei, że po dalszych 6 latach wyleczy się i z tych mylnych zapatrywań i reminiscencyi, które mu jeszcze w spuściznie po ubiegłych czasach pozostały.

Dawniéj „zdzierał z nas maskę obłudy" — dziś pozwala nam wypowiedzieć swobodnie zdanie i „reprezentować przeważnie interesa Kościoła" — może z czasem przypuści nas najmiłościwiéj do „równouprawnienia."

Odsiecz Wiednia.

Dzieło pana Onno Klopp: „Das Jahr 1683 und der folgende grosse Türkenkrieg bis zum Frieden von Carlowitz 1699"*) — bardzo blisko nas obchodzi. Nie mamy prawa oskarżać autora o pobudki nieszlachetne, to jednak pewna, że srodze ukrzywdził naród polski. Chcemy wierzyć, że to uczynił głównie z niedostatecznéj znajomości dziejów i instytucyi polskich, tudzież narodowego charakteru naszego, ale tém koniecznіéj zaprotestować musimy przeciwko falszywemu przedstawieniu rzeczy, jakie napotykamy w tém dziele niemal na każdéj karcie, gdzie mowa o Janie III. i o Polsce.

Nie trudno w wywodach p. Kloppa dopatrzyć się pewnego systemu. Autorowi chodzi głównie o to, aby cesarza Leopolda wystawić w najpochlebniejszém świetle, księcia Karola lotaryngskiego zaś jako wyswobodziciela Wiednia. W tym celu trzeba było ile możności obniżyć zasługi Polski. I tu znowu widoczna metoda. — Autor najprzód zapoznaje szlachetne pobudki, które spowodowały wyprawę Jana III. pod Wiedeń, powtóre usiłuje sprowadzić do najmniejszych rozmiarów zasługę Jana III. przy samym akcie odsieczy, nakoniec wykładając dalsze dzieje wojny tureckiéj, ile możności rzuca cień na udział Polski.

Wszystko to pozostaje ze sobą w ścisłym, logicznym związku. Jeżeli bowiem Jan III. z niskich pobudek wyruszył pod Wiedeń, natenczas czyn jego tém samém traciłby na wielkości; a znowu, jeżeli Polacy w dalszym ciągu wojny nie złożyli żadnych dowodów męztwa, ani wspólnéj sprawie nie przynieśli ofiar, to ztąd znowu na wyprzedzające wypadki pada pewien zmrok.

Przypatrzmy się więc tym trzem głównym kierunkom metody p. Kloppa. Wykazuje on przedewszystkiem, że Jan III. głównie dla tego zawarł sojusz z cesarzem, ponieważ pomiędzy królową a Ludwikiem XIV. zaszły znane nieporozumienia i ponieważ Papież dostarczył subwencyi. Najniebezpieczniejszym wrogiem poważnego dziejopisarstwa jest nałóg wyszukiwania małych przyczyn dla wielkich skutków. Rzeczywiście bowiem wielkie wypadki zawsze są skutkiem bardzo ważnych przesłanek. Na doniosłe zwroty w życiu narodów składają się zwykle liczne, istniejące od dawna i sięgające bardzo głęboko przyczyny. Niech komedyopisarz nieudane okno w pałacu wersalskim wystawia jako powód wojen Ludwika XIV. z Niemcami, albo szklankę wody księżny Marlborough jako powód skrajnéj zmiany polityki angielskiéj pod koniec wojny o sukcesyą hiszpańską, — poważny dziejopisarz nigdy takim wypadeczkom nie przypisze stanowczego wpływu, lecz szukać będzie ważniejszych powodów, a szukając sumiennie, odkryje takowe. Tak też powiastka o taburecie pana D'Arquien nie może żadną miarą odgrywać w dziejach Jana III. téj roli, którą mu przypisuje, prawda, że nie pierwszy pan Onno Klopp. Co zaś dotyczy subwencyi, obiecanéj przez Papieża, to autor, podnosząc to ciągle od pierwszéj do ostatniéj karty dzieła swego, w dwojaki sposób zmniejsza zasługi Polski: najprzód nie uwzględnia dostatecznie, że Papież wypłacał subwencyą wszystkim członkom ligi, mianowicie zaś cesarzowi, choć ten, walcząc z Turkami, bronił tylko swéj własności, a zatém powinien to był czynić własnym kosztem, i nie uwzględnia téż, że gdyby kwestya subwencyi była stała w pierwszym rzędzie, to zaiste Jan III. byłby sobie postąpił praktyczniéj, gdyby był wziął subwencyą od Ludwika XIV. a nie ruszył z miejsca. Powtóre zaś wszelkie miejsca, na których autor wspomina o owéj subwencyi papieskiéj, czytelnika, nie znającego dostatecznie dziejów i charakteru naszego, muszą napełnić przesądem o jakiejś nadzwyczajnéj chciwości Jana III. i Polaków w ogóle. Nie twierdzimy, aby autor koniecznie chciał wywołać takie wrażenie, ale że je wywołuje rzeczywiście, o tém trudno wątpić.

Także inni, nieprzychylni nam dziejopisasze niemieccy przytaczają owe dwie rzekome przyczyny, które niby to skłoniły Jana III. do wyprawy pod Wiedeń. — Jednak przynajmniéj mimochodem przytaczają inną, naszém zdaniem najważniejszą: chrześciańskiego ducha Jana III. i dodajmy, całéj Polski. Pan Klopp tę stronę kwestyi pomija milczeniem. Gdyby zamiast zastanawiać się jedynie nad prywatnemi stósunkami pomiędzy Marysienką a Ludwikiem XIV. i nad pieniężnemi układami pomiędzy Sobieskim a tymże królem, był uwzględnił jako tako bohaterski zawód Jana Sobieskiego w poprzednich wojnach z Turkami, jego zapał chrześciański, którym wtedy król polski sam, obok Papieża, przyświecał monarchom chrześciańskim, nakoniec chrześciańskie uczucia, które tak potężnie władały całym narodem polskim — natenczas autor byłby łatwo zrozumiał doniosłość tych szlachetnych i ważnych, a maluczkość owych podrzędnych pobudek, nad któremi się rozpisuje tak szeroko.

Pan Klopp cesarza Leopolda wystawia jako wzór monarchy chrześciańskiego. Jednakże z samego dzieła autora bardzo jasno wynika, że Leopold wcale nie pragnął wojny z Turkami, że nie byłby uległ wezwaniom Papieża do krucyaty, gdyby sami Turcy nie byli zerwali pokoju z roku 1664, że głównego wroga nie widział w sułtanie, lecz w królu francuskim, i że pragnął gorąco utrzymać pokój z Turkami a walczyć z Francyą. W tém wszystkiem cesarz Leopold okazywał się może bardzo roztropnym i zręcznym monarchą, ale gdyby dla tego zasługiwał na szczególne uwielbienie ze stanowiska kościelnego, trudno na to przystać.

Natomiast w tych wszystkich względach właśnie Jan III. zasługuje na owe uwielbienie, którém p. Klopp obsypuje niesłusznie Leopolda. Bo Jan III. to, co uważał jako obowiązek chrześciański, kładł wyżéj od politycznych korzyści, których wtedy odnieść mógł nie mało, gdyby według wzoru n. p. Gustawa Adolfa albo Ludwika XIV. był wyzyskiwał kłopoty cesarza ku zabraniu Szlązka albo Węgier północnych itd. Autor nasz w swém uprzedzeniu — tego zarzutu nie możemy mu oszczędzić — nie zdolny zrozumieć tego chrześciańsko-bohaterskiego pierwiastku w charakterze Jana III. i ówczesnéj Polski. To téż n. p. owo pierwsze poselstwo polskie, które monarchów, a nawet Ludwika XIV. wzywało do wojny z Turkami, panu Kloppowi wydaje się czemś całkiem niepojętém. Nie przypuszcza on nawet, aby Jan III. był mógł w swym zapale chrześciańskim spodziewać się ze strony Ludwika XIV. przystąpienia do takiéj ligi, lecz raczéj podejrzywa, że to była polsko-francuska intryga! Słowem, gdzie coś przypuszcza, to zawsze pewnym być można, iż domysł wypadnie na ujmę naszę!

Przedstawiwszy pobudki, które skłoniły Jana III do zawarcia sojuszu z 31 marca r. 1683, w świetle najfałszywszém i najmniéj dla nas pochlebném, autor przystępuje do zniweczenia tego, co téż inni pisarze niemieccy nazywają „legendą," czyli wiekopomnych zasług Jana III około oswobodzenia Wiednia. Autor skorzystał wiele z nieznanéj dotąd i wielce ciekawéj korespondencyi Ojca Marco d'Aviano z cesarzem Leopoldem. Jeżeli powiedziałem powyżéj, że dzieło p. Kloppa jest panegirykiem dla cesarza Leopolda i księcia lotaryngskiego, muszę tu dodać, że w pierwszym rzędzie stoi właściwie Ojciec Marco d'Aviano i gdyby p. Klopp był wydał swe dzieło w rymach, epopeja ta powinna by nosić tytuł: „Marco d'Aviano." Dodajmy zaraz, że zasług tego skromnego zakonnika nie zapoznajemy bynajmniéj, owszém na mocy przytoczonych w dziele p. Kloppa listów trzeba mu przyznać, że istotnie w sposób nadzwyczaj doniosły przyczynił się do sukcesów owéj krucyaty. Był to niejako Piotr d'Amiens téj wojny z niewiernymi. Słabemu cesarzowi Leopoldowi dostarczał zawsze dobrych rad. W jednym tylko punkcie tajna korespondencya Ojca Marca d'Aviano z cesarzem Leopoldem obraża nasze dzisiejsze pojęcia o sprawach państwowych. O. Marco d'Aviano raz po raz ostrzega cesarza, że go ministrowie okradają. Zakonnik ten był zacnym człowiekiem i niezawodnie miał bardzo ważne powody do owych oskarżań. Ale gdyby mniéj świętobliwa osoba, korzystając z tajnych stosunków z monarchą, denuncyowała ministrów n. p. o kradzież, czy czyniłaby to z mniéj zacnych powodów? To téż widzimy wielki postęp w fakcie, że dziś takie rzeczy niemożliwe i że publiczna kontrola zastąpił pozakulisowe ostrzeżenia.

Wracając do rzeczy, musimy przedewszystkiém podnieść, że w listach O. Marco d'Aviano nie napotkaliśmy żadnéj skargi na Jana III; żadnego o niém niepochlebnego słowa, choć autor nasz pewnie skwapliwie byłby powtórzył wszelkie tego rodzaju zdanie. Jedynie na mocy śmiałych domysłów p Klopp umie z korespondencyi O. Marco d' Aviano korzystać w zakreślonym sobie kierunku. I tak, zanim przyszło do bitwy pod Wiedniem, toczy się pomiędzy cesarzem a zakonnikiem, który się znajdował w obozie, korespondencya o kwestyą czy cesarz ma przybyć do wojska czy nie? O. Marco d'Aviano tak długo nie daje stanowczéj odpowiedzi, aż bitwa została rozstrzygniętą. Ztąd p. Klopp wywodzi, że cesarz Leopold gorąco pragnął wziąść udział w bitwie, ale Jan III zapobiegł temu. Dla czego? — aby on, a nie cesarz (w myśl traktatu z 31 marca) miał naczelne dowództwo. Pan Klopp widzi w tém tylko dowód próżności Jana III a bohaterstwa Leopolda, zapomina zaś, że Jan III był uznany w całym świecie jako mistrz w sztuce wojennéj, cesarz Leopold zaś nigdy w niéj nie zasłynął. Pomijamy pytanie, czy cesarz, który kilka miesięcy wprzódy tak szybko uchodził z Wiednia i któremu na téj ucieczce towarzyszyły niebezpieczne pogróżki ludności, istotnie tak gorąco pragnął stanąć na czele wojska? Ale choćby nawet tak było, to rzecz prosta, że Jan III nie chciał i nie mógł wspólnéj sprawy i wspólnego wojska narażać na niebezpieczeństwo, jedynie dla tego, aby zadość uczynić nagłéj wojennéj zachciance cesarza. Powtarzamy, rzecz najnaturalniejsza w świecie, że z dwóch sprzymierzonych monarchów ten dowodził w bitwie, który posiadał ku temu odpowiednie zdolności. Wszystko to więc, co p. Klopp tak obszernie wyłuszcza, niby jako dowód próżności Jana III i ukrzywdzenia pragnącego osobiście walczyć cesarza Leopolda, składa tylko nowy dowód dziwnego uprzedzenia autora.

Następnie usiłuje on wykazać, że Jan III tylko na pozór był dowódzcą, gdy tymczasem rzeczywiście dowodził książę lotaryngski. Nie możemy się tutaj zastanawiać nad dotyczącemi szczegółami strategicznemi. Wystarcza przypomnieć, że w według téj metody możnaby wszystkim w ogóle wielkim wodzom odmówić sławy zwycięstwa, gdyż zwykle stał przy ich boku jaki dzielny szef sztabu jeneralnego, albo śmiały wódz korpusu, który się osobiście mniéj lub więcéj przyczynił do odniesienia zwycięstwa. Nadto p. Klopp dowodów na swe twierdzenie wcale nie przytacza, gdy my wiemy z własnych słów Jana III, że „książę lotaryngski go słuchał." Pan Klopp swoje przypuszczenia głównie opiera na sprawozdaniach posła weneckiego Contariniego, który po bitwie wysławia zasługi księcia lotaryngskiego. Jednakże Contarini był gorącym wielbicielem księcia i tém się tłómaczą po części nieco przesadne pochwały, jakiemi go raczy. Zresztą ambasador wenecki nie powiada wcale, jakoby nie Jan III dowodził pod Wiedniem. W ogóle wszelkie odnośne twierdzenia autora zdradzają uprzedzenie, plan z góry powzięty, któryby można określić tak: „Niepodobna, aby taki król polski miał oswobodzić Wiedeń; mógł to uczynić tylko taki bohater i protoplasta dynastyi panującéj, jak książę Karól lotaryngski." — Z dziejopisarzem, który stanął na podobném, jednostronném stanowisku, trudno rozprawiać. Nie tylko zresztą p. Klopp odmawia Janowi III zasługi odsieczy, lecz nadto w sposób bardzo nam nieprzychylny i ubliżający opisuje czynność wojska polskiego. Według opisu p. Kloppa pułki polskie na prawém skrzydle, pozostające pod bezpośredniém dowództwem Jana III cofnęły się zaraz przed Turkami i dopiero pułki niemieckie na tém miejscu przechyliły szalę zwycięstwa na stronę sprzymierzeńców. Daléj autor zamilcza o dzielnych czynach oddziału polskiego, który pod dowództwem Sobieskiego walczył na lewém skrzydle, wśród szeregów cesarskich. Poprzednio widział się zmuszonym przytoczyć kilka listów księcia lotaryngskiego, który się wyrażał pochlebnie o męztwie właśnie tego oddziału polskiego, który przed nadejściem Jana III staczał walkę z wojskiem Tökölego. Ale w opisie właściwego aktu odsieczy, wojsko polskie w dziele p. Koppa występuje jako hufiec niesforny, bez odwagi a natomiast bardzo pochopny do rabunku. Zarzuty w téj mierze podniesione, wcale nie nowe. Pan Klopp powtórzył dawne insynuacye, tylko starannie uniknął przytoczenia znanych słów Jana III: „liberator sum et non spoliator," albo owego bardzo wymownego szczegółu, że Niemcy wzbraniali się wydać Janowi III nawet te działa tureckie, na których były napisy polskie, a zatém działa, w dawniejszych wojnach polsko-tureckich zabrane nam przez Turków!

W trzeciéj części autor opisuje dalszy ciąg wojny tureckiéj aż do pokoju karłowickiego. Wszyscy wiemy, że niestety nieszczęsne zatargi wewnętrzne w Polsce nie pozwoliły w sposób skuteczny wziąć udziału w dalszéj wojnie ligi. Z tém wszystkiém w dziele tak obszernem, jak „Das Jahr 1683," traktującém bardzo szczegółowo wszelkie dyplomatyczne stósunki ówczesne, zajścia w Polsce, pozostające w związku z sprawami ligi, powinny były znaleść miejsce, i byłyby znalazły, gdyby autorowi nie było chodziło widocznie o to, aby Polskę jak najśpieszniéj... usunąć na bok. Kilka przykładów wyjaśni tę metodę. I tak na str. 393 autor powiada: „Sobieski nie mógł oderwać się od ligi, na którą złożył tak uroczystą przysięgę, tém więcéj, że on sam w roku 1683 zażądał téj uroczystéj formy przysięgi (złożonéj w ręce Papieża, że żaden z sprzymierzeńców nie zawrze pokoju z Turkami bez pozwolenia drugiego). O tyle więc opierał się usiłowaniom polityki francuskiéj, która starała się przywieść do skutku pokój specyalny pomiędzy Turkami a Polską. Ale odtąd prace rozdwojonéj pieniędzmi francuskiemi Polski dla świętéj ligi nie miały znaczenia." Potém czytamy (na stronie 508): „Już w roku zeszłym umarł był Jan III Sobieski." To wszystko. Najmniejszéj wzmianki o wiekopomnych zasługach bohaterskiego króla. Czy w tém lakoniczném zapisaniu śmierci Jana III nie mieści się cała krytyka dzieła p. Kloppa? Czy to nie waryacya, możnaby rzec, nieprzyzwoita, na temat: „Der Mohr hat seine Schuldigkeit gethan, der Mohr kann gehen."

Porównajmy tylko ten lakonizm z wielomównością, z jaką autor rozwodzi się o śmierci księcia Karola Lotaryngskiego (w r. 1690). Tam nie tylko dramatycznie opisuje ostatnie chwile bohatera, nie opuszczając naturalnie plotki, że został otruty przez Francuzów (musimy bowiem przypomnieć, że p. Klopp pała zabawną nienawiścią do Francyi) — ale nadto śmiało dodaje: „Wskutek czynów Karola dawniejsza trwoga przed Turkami zamieniła się w lekceważenie. Od czasu krucyat nikt potędze Turków nie zadał tak dotkliwych ciosów, jak ten książę. Z jego imieniem łączy się wspomnienie odsieczy Wiednia, zwycięstwo pod Parkanami, Ostrzygoniem — słowem odzyskanie Węgier i Siedmiogrodu." Taki nagrobek autor pisze... księciu lotaryngskiemu. Ale czy się nie omylił? Czy ten nagrobek nie należał się raczej Janowi Sobieskiemu? Równie obszernie, jak o śmierci księcia lotaryngskiego,

*) Hradec styryjski, 1882, 580 stron.

autor rozpisuje się nad śmiercią Ojca Marko d'Aviano, (13 sierpnia 1699), który istotnie zdaje się zasługiwać na kanonizacyą.

A zatém p. Onno Klopp umie być wdzięcznym — byle nie dla nas.

I tak mimochodem wspomina też o pozyskaniu wielkich książąt moskiewskich dla téj ligi i o odstąpieniu im trzech prowincyi przez Polskę. Ale jaka to była ogromna ofiara, którą w tych paktach grzymułtowskich Polska poniosła w interesie świętéj ligi, o tém albo p. Klopp nic nie wie, albo też czytelnikom nie chce nic powiedzieć. Zbywa on nowe poświęcenie Polski z tym samym lakonizmem, co śmierć Jana III, natomiast wita radośnie wstępującego na widownią cara Piotra, sądzi, iż uzyskanie Kamieńca było bardzo dostatecznem wynagrodzeniem Polski, na koniec zaś pomiędzy czynnikami, którym cesarz Leopold zawdzięcza pokój karłowicki, wymienia najrozmaitsze — z wyjątkiem Polski!

Takie to dzieło napisał p. Onno Klopp dla uczczenia dwóchsetnéj rocznicy oswobodzenia Wiednia.

XX.

Raiffeisen i jego Spółki włościańskie.

(Ciąg dalszy.)

Odpowiedziano daléj panu dr. Rzepnikowskiemu, że „nad Renem społeczeństwo jest w ogóle bogatsze — u nas zaś ubóstwo ogólniejsze," dla tego więc u nas Raiffeisen nie potrzebny. — Widzieliśmy z powyższego cytatu komisyi rządowéj jaka to rozkosz u chłopa nad Renem. Krowy, konia nie miał własnego, tylko żydowskie i temi pracował, a miejscami i dziś pracuje, gdzie nie ma Spółki Raiffeisena. O tego rodzaju spekulacyi żydowskiéj smutne rzeczy piszą z nad Renu i zachodnich Niemiec; ta sama ustawa, co u nas, to samo niszczenie chłopa, ale kto chce o tych stósunkach nadreńskich mówić, aby je z szkodą dla nas stawiać za przykład, ten musi albo naocznie rzecz poznać, albo informować się sumiennie przez uczciwych, a nie liberałów żydowskich, bijących w Raiffeisena, szkodzącego lichwiarskiéj ich gospodarce!

Oprócz powyższych wytoczono na sejmiku jeszcze inne argumenta, o funduszu rezerwowym, o udziałach itp. Późniéj będziemy o tém mówili, a teraz zajrzyjmy do Galicyi, z któréj korespondent przed kilku laty wystąpił także w jedném z pism naszych przeciw zaprowadzeniu u nas systemu Raiffeisena, a szczegółowo przeciw panu dr. Rzepnikowskiemu, jako propagatorowi tego systemu na ziemi wielkopolskiéj. W Galicyi, gdzie lud jęczy pod straszniejszym jeszcze naciskiem lichwy żydowskiéj, jak u nas, w Galicyi, gdzie mimo banków krajowych stokroć gorzéj wyzyskuje i niszczy chłopa, jak nie raz widzimy, lichwiarz, w téj oto Galicyi ulitował się rząd nad ludem wiejskim i chciał mu przyjść w pomoc przez Spółki Raiffeisena. Przeciwnicy tego systemu zadrzeli na samę tę myśl, i kiedy z polecenia rządu przyjechał do Krakowa i Lwowa w r. 1876 profesor ekonomii i radzca ministerstwa rólnictwa w Wiedniu dr. Marchel, przyjęto go, jak się dr. Marchel wyraził. „odpychająco," nie chcąc słuchać o pomocy rządu. Chciał także dr. Marchel zaprowdzić w Galicyi nauczycieli wędrownych, ale i tego nie przeprowadził, „bo — jak powiada ucieszony z tego dr. Schulze — ankieta myśląc, że tu znowu mowa o Raiffeisenie i jego systemie, któregoby się miano uczyć nad Renem, ani o tém słuchać nie chciała.

W trzy lata późniéj poruszył tę samę myśl Spółek Raiffeisena p. dr. Rzepnikowski, żądając dla nas tych Spółek. Po niefortunnéj odprawie w Gnieźnie, wydrukował p. dr. Rzepnikowski, jakeśmy to już wyżéj powiedzieli, swoje zdanie o Raiffeisenie w „Dzienniku Poznańskim."

Przyjaciele Schulzego w Galicyi widząc, że u nas pokutuje Raiffeisen, popierany przez p. dra Rzepnikowskiego, wystąpili w jedném z pism tutejszych przeciw temu projektowi, pisząc o kredycie w ogóle, o niepraktyczności systemu Raiffeisena, udzielającego pożyczki na czas dłuższy, a biorącego depozyta na czas krótszy itp. Znane te wszystkie od dawna teorye przeciwników Raiffeisena zbił przed kilkunastu laty sam Raiffeisen, zbili jego liczni przyjaciele w pismach publicznych i broszurach; zresztą praktyka kilkodziesięcioletnia wykazała całą nicość tego rodzaju bezpodstawnych zarzutów, miotanych przeciw Raiffeisenowi.

Ich powtarzanie mogło przeto chyba tych uwieść, albo chcieć uwieść, którzy nie zajrzeli głębiéj do Spółek Raiffeisena. Zadne wywody teoretyczne nie zdołają już też zachwiać Spółek Raiffeisena i jego chrześciańskiéj idei. Przez lat trzydzieści i dwa uczyniły one tyle dobrego, że ich przyszłość zupełnie zapewniona. Gdzie tylko Raiffeisen osiadł się ze swoją Spółką włościańską, tam błogosławi go lud miejscowy i okolica. Zadna z tych Spółek nie zasypała swych członków gruzami milionowych strat, jak to widzimy w Spółkach dra Schulzego; żadnéj z nich nie złorzeczą członkowie, jak to widzimy w Spółkach pożyczkowych! Przekonały się o zbawienności Spółek Raiffeisena władze sądowe i administracyjne, dziękując szczerze ich twórcy; przekonał się o ich korzyści moralnéj i materyalnéj rząd berliński i oto po kilkodziesięcioletniém doświadczeniu popiera Spółki Raiffeisena, wysyła na ich sejmiki i obrady swoich delegatów, stara się o zaprowadzenie tych Spółek, czego z Spółkami Schulzego nie robi. A rząd cesarski czyni to pewno po wszechstronnéj rozwadze, po głębokiém zbadaniu systemu Raiffeisena, po przekonaniu się o użyteczności jego. Delegat rządu cesarskiego, asesor rejencyjny p. Paucer z Strasburga, był także na tegorocznym sejmiku w Bonn, wyraził się o systemie Raiffeisena bardzo pochlebnie i wniósł w końcu o wysłanie ze związku zastępcy do Alzacyi na koszt rządu, aby obok istniejących już tam Spółek Raiffeisena, jeszcze więcéj założyć. To są wymowne dowody uznania pracy Raiffeisena. W obec takich faktów nikną wszelkie teorye! Są przecież ludzie, którzyby, chociaż sami nic nie robią dla podniesienia ludu, nikogo jednak do pracy téj przypuścićby nie chcieli; nie chcą oni, aby kto inny prowadził ten lud poczciwy, ale niedoświadczony i nieporadny, wystawiony na tyle pokus i strat przez niesumiennych wyzyskiwaczy materyalnych i politycznych. Tym tolludziom nie podoba się ten patryarchalny stósunek parafialny, dla tego wolą widzieć wszystkie klęski na lud wiejski zgromadzone, aniżeli go oddać w te ręce. To jedna z przyczyn, dla któréj Raiffeisen ma tylu przeciwników; druga leży w tém, że Spółki włościańskie nader dobroczynny wpływ wywierają na lud wiejski, który wyswobadzają z rąk lichwiarzy żydowskich, należących jedynie do obozu liberalnego, i że mogą się poszczycić rezultatami, do jakich Spółki Schulzego nie dorósły. To też jeden z najgłówniejszych popleczników Schulzego otwarcie wyznał, że „Spółki włościańskie robią konkurencyą Spółkom Schulzego, trzeba je przeto wytępić."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE KURYERA POZNANSKIEGO.

Kraków, 7 listopada.

(Kraków jako miasto handlowe. — Zniżenie opłaty od przewozu zboża. — Nowa opera. — Profesor Łuszczkiewicz i M. Sokołowski. — Wodociągi. — Hr. Potocki. — Tramwaj).

(□) Kraków był dawniéj miastem, w którém się koncentrował cały handel zbożowy Galicyi a nawet i znacznéj części zboża podolskiego. Powołuje go też do tego korzystne położenie jeograficzne, nasuwające mu samo przez się obowiązek pośredniczenia między producentami całego kraju a Zachodem, potrzebującym płodów galicyjskich. Od czasu jednak, jak koleje zawierać zaczęły między sobą zgubne dla Galicyi kartele kolejowe, w celu protegowania wysyłek daleki transport odbywających, ustał w Krakowie wszelki handel zbożowy. Od zboża ładowanego w Podwołoczyskach i Brodach, dowożonego do Krakowa w celu wysłania go daléj koleją północną Ferdynanda, opłacało się niższe koszta transportowe za przestrzeń od Podwołoczysk do Krakowa, niż od zboża naładowanego na którejkolwiek stacyi kolejowéj w Galicyi z przeznaczeniem go do Krakowa. Poszło zatém, że nawet młyny krakowskie nie kupowały zboża galicyjskiego, koleją nadchodzącego, bo zakupując w Slązku zboże podolskie, przewiezione przez Królestwo Polskie i opłacając koszta transportowe ze Slązka do Krakowa, nabywały je taniéj od zboża przysłanego z Galicyi, a obciążonego opłatami różniczkowemi. Wielka więc powstała radość w stanie kupieckim Krakowa, kiedy wczoraj nadeszła wiadomość z Wiednia, że Rada zawiadowcza kolei Karola Ludwika postanowiła nie tylko w ogólności obniżyć swą taryfę, ale nadto odstąpić znacznie od systemu taryf różniczkowych, tyle złego tak producentom całéj Galicyi, jak i kupcom zbożowym krakowskim wyrządzającego. Nie wiemy dotąd do jakiego stopnia zmienioną zostanie dotychczasowa taryfa kolejowa, ale spodziewamy się najlepszych po niéj skutków dla miasta naszego.

Donosiłem już dawniéj, że znany nasz kompozytor Zeleński pracuje nad operą narodową pod tytułem Wallenrod. Opera ta nie jest jeszcze w zupełności dokończoną, a już teatra ubiegają się o zyskanie prawa przedstawienia jéj po raz pierwszy na swéj scenie. Między współubiegającymi się znajdują się teatra warszawskie i teatr czeski.

Na posiedzeniu komisyi historyi sztuki Akademii Umiejętności, które się odbyło 4 b. m., zdawał profesor Władysław Łuszczkiewicz sprawę z podróży swéj, odbytéj w tym roku do Królestwa Polskiego. Pan Łuszczkiewicz jest, jak wiadomo, najgruntowniejszym badaczem architektury naszéj romańskiéj i rozszerza co rok swe badania, ogłaszane wraz z planami i tablicami, objaśniającemi szczegóły architektoniczne i ornamentacyjne w sprawozdaniach komisyi historyi i sztuki.

Tym razem przedstawił komisyi tablicę planów i szczegółów architektonicznych kościoła z XII. wieku w Czerwińsku. — Niemniéj zajmującem było przemówienie profesora Maryana Sokołowskiego. Zastanawiał on się nad poszukiwaniami, rozpoczętemi przez profesora Szaraniewicza w Haliczu, rozbierał szczegółowo plan odkoganych fundamentów bizantyńskiéj cerkwi św. Spasa, podany przez profesora J. Zacharjewicza do technicznego lwowskiego pisma Dźwignia i porównywał pozostałości téj cerkwi z pokrewną jéj pod względem stylu i technicznego charakteru słynną cerkiewkę św. Borysa i Chleba w Kołoży pod Grodnem. Oba te pomniki zdają się pochodzić z drugiéj połowy XII. wieku. Piękne rezultaty poszukiwań na Rusi Halickiéj obudzają życzenie, aby badania te starannie daléj prowadzonemi były. Są to bowiem prawdopodobnie ślady starego Halicza, który jak się zdaje, leżał daleko po za dzisiejszem miastem na wzgórzu skalistem, które odkopane w zupełności, może nam dać jasne wyobrażenie o staréj kulturze Rusi czerwonéj.

Komisya wodociągowa robiła w tych dniach staranne poszukiwania w dolinie Sanki pod Baczynem i przekonała się, że ztamtąd Kraków do swych wodociągów dostatecznéj ilości wody zyskać nie może. Zapadnie więc prawdopodobnie niebawem decyzya Rady miejskiéj, że woda sprowadzaną ma być ze źródeł pod Regulicami. Plany i kosztorysy będą też niezadługo wygotowane, i, jeśli Rada miejska z badaniem ich pospieszy się, robota około wodociągu, doprowadzającego wodę do Krakowa, rozpocząć się już będzie mogła na wiosnę.

Namiestnik hr. Alfred Potocki bawił kilka dni w Krakowie i odjechał wczoraj do Lwowa.

Towarzystwo tramwajowe, choć z cudzoziemców złożone, postanowiło okazać, że umie uczcić to, co naród szanuje i ofiarowało cały dochód dnia pierwszego na pomnik Mickiewicza. Wieść ta rozeszła się w sam dzień otwarcia ruchu tramwajowego po Krakowie, co obudziło powszechną ochotę przejeżdżania się tramwajem na próbę, jak się nim jedzie. Powiadano nam o rzeźniku, który dowiedziawszy się, że dochód dnia tego przeznaczony na pomnik Mickiewicza, uniósł się taką ofiarnością na ten cel, że wziąwszy od majstra złożone u niego 8 złr., przejeździł je tramwajem co do centa. W ten sposób zebrała się dość znaczna suma 124 złr., które Towarzystwo złożyło do rąk Prezydenta miasta.

Berlin, 8 listopada.

Zdaje się, że nie tak prędko jeszcze niektóre dzienniki protestanckie przestaną podburzać ludność przeciw katolicyzmowi. Wychodzący tutaj dziennik „Evang. Kirch. Anzeiger", organ „unii pozytywnéj", podaje na dzień 10 listopada (dzień urodzin Lutra) swym czytelnikom artykuł, z którego następujące wyjmujemy cytaty:

„Wieczna hańba rzymskiéj Kuryi, jéj obłudzie i matactwu w postępowaniu z Lutrem, jéj przekleństwa godnéj praktyce w paleniu heretyków." — „Nadmiar fałszu Papieża." — „O pomstę do nieba wołające zbrodnie." — „Luter pokonany był okropnością bluźnierstwa zawartego w bulli przeciw niemu wymierzonéj, przejrzał on tajną złośliwość Rzymu i poznał, że papieztwo nosi na sobie oznaki antichrysta i bluźnierstwa. Poznał on również „pozorną świętość i obłudę słów i działań papiezkich." W końcu téj pełnéj jadu elukubracyi pisze autor: „Sobór trydencki rzucił klątwę na wszystkich luteranów, a sobór watykański dołączył do tego potępienia protestantyzmu jeszcze cztery nowe przekleństwa."

Lecz te wszystkie dosadnie wyrażenia nie są jeszcze dostateczne dla „Evan. Kirch. Anz." — pisze bowiem ten dziennik, że jest to tylko „pobudka" celem przygotowania umysłów do obchodu czterystoletniéj rocznicy urodzin Lutra w roku przyszłym. Czy szanowny organ kościelny znajdzie w słowniku niemieckim w roku przyszłym celem okazania swéj nienawiści ku katolicyzmowi jeszcze dosadniejsze epiteta, wątpimy. Najmilszém zadaniem dla „Evang. Kirch. Anz." byłoby pewnie, gdyby tak mógł donieść swym czytelnikom, iż przyszła kolej na katolików, że ich jako heretyków palić będą. Twierdzi bowiem zawsze ten organ, że palenie heretyków było instytucyą kościelną, chociaż protestanccy historycy, jak Ranke, Leon Dittmar Guizot itd. powiadają, że była to ustawa państwowa, że śmierć ogniową dla heretyków przeznaczył w Niemczech nieprzyjazny papieztwu Fryderyk II. A imiennik jego, król pruski, „filozof", jeszcze w przeszłym wieku na stosie w Berlinie żydów palić kazał.

Wobec tak bezustannych podszczuwań całéj protestanckiéj klasy społeczeństwa, byłby czas, aby prasa urzędowa wystąpiła choć raz ze słowem nagany i położyła koniec takiemu niecnemu postępowaniu. Kiedy przed kilku miesiącami na Slązku para narzeczonych różnego wyznania życzyła sobie ślubu w kościele katolickim i kiedy żądano od niéj, aby się poddała warunkom przepisanym w Kościele katolickim w podobnych wypadkach, powstał w prasie urzędowéj taki wrzask, jak gdyby ksiądz katolicki, żądający tego samego, co pastor protestancki, to jest aby po zawarciu ślubu w kościele katolickim, nie brano go po raz drugi w kościele ewangielickim — trzydzieści milionów protestantów narażał na utratę wiecznego zbawienia.

Od kilku już miesięcy na publicznych zebraniach pierwsi kaznodzieje protestanccy występują przeciw katolicyzmowi i to z takim fanatyzmem, że biada katolikowi, któryby się ośmielił pokazać w takiém zgromadzeniu. Profesorowie, którzy będąc urzędnikami państwa, tém samém i przez katolików z podatków od nich składanych utrzymywani bywają, nie wahają się wcale nazwać w swych przemówieniach głowy Kościoła „antichrystem", a powiedział to niedawno pewien kaznodzieja nadworny. Czy prasa urzędowa nie powinna była wystąpić wtenczas z napomnieniem przeciw takim fanatykom?

Peszt, 7 listopada.

(Posłuchanie p. Smolki u cesarza. — *Peccatum omissionis,* ale czyje? — Jak p. Smolka mimowolnie nauczył p. Ludwika Tiszę skromności. — Węgrzy ustępują w sprawie węgierskiéj akademii wojskowéj. — Pan Grocholski „*plus impérialiste que l'empereur.*")

(Zc.) Pan Smolka miał wczoraj posłuchanie u cesarza, na którém dziękował za nadanie mu godności tajnego radzcy. Austryacki *geheimer Rath* co innego znaczy od pruskiego *Geheimratha.* W Prusiech jest to tytuł bardzo powszedni, w Austryi niepospolite odznaczenie, połączone z tytułem Ekscelencyi; nawet ministrowie dostępują go dopiero po przydłuższém sprawowaniu urzędu. Zazwyczaj dziękuje się cesarzowi za nadanie téj godności na osobném posłuchaniu tuż po złożeniu w ręce cesarza przysięgi, którą każdy tajny radzca złożyć musi; p. Smolka, złożywszy przysięgę już przed dwoma tygodniami, dziękował dopiero wczoraj, naprawiając *peccatum omissionis,* spadające na karb nie p. Smolki, lecz hr. Taaffego, który wyraźnie poinformował był p. Smolkę, iż etykieta dworska nie dozwala dziękować za nadanie godności tajnego radzcy. Cała przeszłość p. Smolki, ongi „zbrodniarza stanu," skazanego na śmierć, jest tego rodzaju, że niepodziękowanie za tak wybitny dowód łaski i zaufania cesarskiego każdy nieświadomy właściwéj przyczyny musiał poczytać mu po prostu za demonstracyą. Naprawienie grzechu zaniedbania było więc właśnie u p. Smolki konieczne. Cesarzowi właściwa przyczyna zaniedbania tego pewnie nie pozostała tajną; to też przyjął pana Smolkę wczoraj z podwójną łaskawością i oprócz rzeczy, nie wymagających zachowania w tajemnicy, rozmawiał z nim także o tajemnicach stanu, jakby na dowód, że do niewinnego uchybienia nowego tajnego radzcy nie przywięzuje żadnéj wagi.

Między innemi — a rozumie się, że nie mówię tu o tajemnicach — cesarz raz jeszcze zapewnił p. Smolkę, jak już dawniéj przy składaniu przysięgi, że z prawdziwém zadowoleniem mianował go swoim tajnym radzcą, poczém wynurzył mu również ponownie uznanie swe za takt okazany w znaném przemówieniu p. Smolki na zagajenie sesyi delegacyjnéj. Ten ponowny wyraz uznania nie jest bez znaczenia; przykro bowiem dotknął cesarza w przemówieniu p. Ludwika Tiszy, marszałka delegacyi węgierskiéj, brakby najmniejszéj wzmianki o waleczności armii w tegoroczuéj kampanii dalmacko-hercegowińskiéj, podczas gdy p. Smolka, jak wiadomo, wśród powszechnych oklasków mówił o wdzięczności dla armii. Z drugiéj strony sprawiło to cesarzowi przyjemność, że p. Smolka w przemówieniu swém pominął sprawy zagraniczne i wymawiając się od wywodów takich skromném stanowiskiem swém w państwie, mimowolnie zniewolił p. Ludwika Tiszę również do pominięcia spraw zagranicznych. Marszałek delegacyi węgierskiéj rzeczywiście miał przygotowaną szeroką perorę o sprawach zagranicznych, ale musiał ją opuścić, aby po skromném wystąpieniu p. Smolki nie ściągnąć na siebie pozorów nieskromności. Do tego więc naśladowania przykładu p. Smolki pod jednym względem, a nienaśladowanie go pod drugim przez p. Ludwika Tiszę odnosiły się wczorajsze ponowne wyrazy uznania dla p. Smolki. Cesarz wypytywał go daléj o przebieg obrad delegacyjnych i kiedy się skończą, na co zagadniony odpowiedział, że przebieg obrad jest dotychczas gładki i niewątpliwie takim téż pozostanie, a skończą się obrady prawdopodobnie dnia 18 bm.

Zdaje się, że rzeczywiście będzie można załatwić się z wszystkiém aż do tego terminu, skoro ustała główna przyczyna ewentualnego przedłużenia sesyi. Dowiaduję się bowiem, że Węgrzy odstąpili już od zamiaru sprowadzenia stanowczéj uchwały w sprawie żądania osobnéj węgierskiéj akademii wojskowéj. Węgrzy okazali się tu znowu mądrymi politykami w duchu rozwiniętym przezemnie w liście ostatnim.

Między naszymi delegatami panuje trochę niezadowolenia z p. Grocholskiego. W sprawie przeprowadzanych właśnie reform w armii wydawało się niektórym delegatom naszym rzeczą właściwą, żeby delegacya polska zaznaczyła zasadnicze stanowisko swe. Znając dobrze tego, który na naradzie delegacyi naszéj żądał takiego wystąpienia, mogę przypuścić, że miał na myśli stanowisko aprobujące, chociaż tego wcale jeszcze nie wypowiedział. Pan Grocholski atoli stanowczo sprzeciwił się żądaniu, oświadczając, że nie można w sprawie organizacyi armii zabierać głosu ani w duchu aprobującym, ani w duchu reprobującym, bo sprawa ta należy wyłącznie do korony; mięszać się do niéj w takim czy owakim duchu znaczyłoby wkraczać w zakres praw korony; możnaby co najwięcéj zadawać rządowi pytania w celu otrzymania objaśnień. Ztąd powiedziano o panu Grocholskim — zresztą nic nowego — że jest *plus impérialiste que l'empereur.* Nie godząc się na zapatrywanie p. Grocholskiego, muszę przyznać, że lepiéj nam nie zaznaczać zasadniczo naszego stanowiska w rzeczonéj sprawie, bo zalety reform teraźniejszych przedstawiają się w Austryi zarazem jako wady.

Londyn, 4 listopada.

(Zwycięztwo Gladstone'a i opozycya. — Pozycya Irlandczyków w parlamencie cesarstwa).

(x) W ostatnim liście pisałem Wam, że stronnictwo konserwatywne powzięło w ostatniéj chwili prawie nieoczekiwaną już decyzyą bronienia każdéj pozycyi w postępie bilu „knebla." Najzaciętsza walka ta, któréj przedmiotem był artykuł pierwszy bilu klotury, żądający zamknięcia rozpraw z woli absolutnéj większości — została stoczona. Poprawka Gibsona przepadła — a stało się to w skutek dziwnéj apatyi tak umiarkowanych whigów, jak i samych torysów.

Obojętność tę, po groźnéj postawie sir S. Northcotego tém się tłumaczy, że Gladstone oświadczył w chwili ostatniéj, iż gabinet nie będzie uważał nawet klęski za wotum niezaufania. Tym sposobem zjednał sobie radykałów i Irlandczyków — partye zawsze więcéj skore do popierania liberałów, aniżeli torysów. Rzecz jasna, że taką śmiałością natchnęły szefa gabinetu tylko trofea armii pod Kassasynem i Tel-el-Kebir!

Artykuł pierwszy bilu przeszedł większością 84 głosów w Izbie, liczącéj przy głosowaniu 560 posłów. Pan Gladstone tryumfuje, posiadając tak potężną broń przeciw zbyt natarczywéj opozycyi. Wystarczy głos jeden większości, aby zamknąć usta obstrukcyonistom, lub zbyt natrętnym interpelantom.

Lecz przebieg ostatnich rozpraw wykazał fakt, dziś już stanowczy, że cała procedura parlamentu W. Brytanii zależy od stanowiska posłów irlandzkich.

Narodowa partya irlandzka stanowiła zawsze pewne centrum w parlamencie, na którego akcyą oglądać się musiały partye ministeryalne. Ale rozszerzone przywileje wyborcze (choć jeszcze tyle mniejsze od angielskich!) i zdecydowany charakter dzisiejszych pierwszorzędnych sił irlandzkich — pozwoliły jéj rozwinąć nowy plan kampanii z potęgą nieznaną przed laty dwudziestu. Niema najmniejszéj wątpliwości, że najbliższe wybory jeneralne powiększą zastęp narodowych posłów irlandzkich w trójnasób.

Nie pozostanie wtenczas stronnictwom parlamentarnym W. Brytanii nic innego, jak — albo zgodzić się na cały program homerulerów, albo wystawić na szwank wszelkie prawodawstwo w królestwie.

Gladstone zgromadził na posiedzenie wczorajsze wszystkich swych zwolenników — nawet p. Erringtone'a z Rzymu. A jednakże oczy wszystkich zwrócone były na p. Parnell'a — bo od niego zależał los tak ważnéj poprawki Gibsona. Posłowie irlandzcy zdecydowali się w ostatniéj chwili poprzeć rząd — na téj tylko zasadzie, że potrafią i oni skorzystać z despotycznego artykułu. Gdyby Irlandczycy byli głosowali za poprawką, około 18 członków umiarkowanéj partyi whigów z p. Göshen na czele, stanęliby przeciw rządowi — dowodzi tego fakt, że owi członkowie nie opuszczali sali, dopóki nie spostrzegli, do którego krużganku skierowali się Parnelliści. Poczém, za nimi przeszli do ministeryałów. Gdyby p. Parnell zadecydował był inaczéj, rząd miałby większość zaledwie 22 głosów, i to nader wątpliwe, gdyż i te, należąc do radykałów, mogły się były rozstrzelić.

Przestało dziś już być tajemnicą, że Irlandczycy stanowią potęgę i w niéj wzrastają. Kto przecież dobrze jest obeznany z rozdzierającemi ich zastęp waśniami domowemi; kto zna ogromną różnicę w zapatrywaniach i dążnościach dwóch najznakomitszych i równie popularnych ich koryfeuszów — Parnella i Davitta — temu dziwnem się wydaje, że w Westminsterze taka solidarna panuje między nimi zgoda. A cnota ta niezmiernie jest rzadka w Irlandyi. Otóż co może silna i nieprzezwyciężona wola! Podczas konferencyi narodowéj w Dublinie Parnell złote wypowiedział słowa:

„Za progiem westminsterskim ustają dzielące nas swary; dzielimy się na frakcye w Irlandyi — jesteśmy jedném i niejako jednolitem ciałem w Londynie. Muszę oddać słuszność ziomkom i oświadczyć, że organizacya nasza potężnieje z dniem każdym dla tego, że wobec potrzeb narodu i w obliczu przeciwników ustaje między nami spór wszelki! Wywalczyliśmy tym sposobem w przeciągu lat dwóch, wiele. Da Bóg — wywalczymy i resztę!"

NIEMCY.

* Berlin, 8 listopada. Dzienniki wszystkich prawie odcieni zapuszczają się w obszerne kombinacye i często bardzo naciągane rozumowania w kwestyi wzajemnego stósunku stronnictw politycznych do siebie i stanowiska, jakie wobec rządu zajmą. Kwestya to prawda niemałéj doniosłości, wszakże gruntowne i ostateczne jéj rozwiązanie nastąpić może dopiero po otwarciu Izby i przedłożeniu projektów rządowych, dotyczących polityki jego wewnętrznéj. Wątpliwą także jest rzeczą, co niektóre dzienniki już jako pewnik uważają, czy do téj lub owéj frakcyi przystąpią posłowie, których właściwie wybrano w imię innego stronnictwa. Wolnokonserwatywne np. dzienniki z tryumfem donosiły, że co najmniéj 9 posłów, których „Kreuz Ztg" do obozu starokonserwatywnego zaliczyła, do ich szeregów wstąpi. Wolnokonserwatywna „Post" spuściła już dziś cokolwiek z tonu i pisze tylko o dwóch posłach, których stronnictwo jéj na starokonserwatystach zdobyło. Narodowo-liberalni przy wszelkiéj bucie i pewności siebie zachowują wobec grzeczności, jakiemi ich urzędowe dzienniki obsypują, pewną ostrożność. Widocznie nie chcą oni za jaką taką cenę swéj przyjaźni sprzedać. Mimo to zdaje się, że porozumienie pomiędzy nimi a rządem bez trudu nastąpi na polu ekonomiczno-politycznem. Dzienniki liberalne same oświadczają, że z nowo wybranym ministrem skarbu łatwiéj im będzie się pogodzić, aniżeli z upornym Bitterem, który nie we wszystkiém chciał zastósować się do liberalnych zachcianek. Ale za to stanowczo żądają gruntownéj zmiany polityki Puttkamera i Gosslera, ewent. ich usunięcia. Dzienniki urzę-

Dodatek.